JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

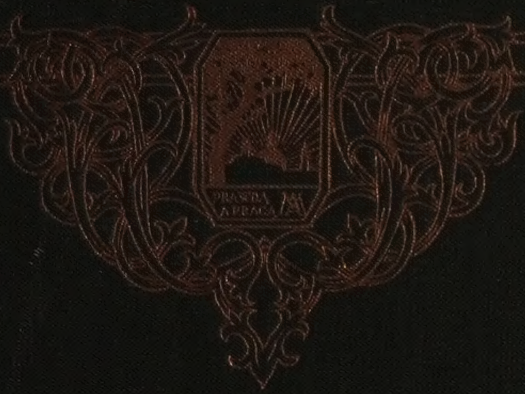

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M. ARCTA
W WARSZAWIE

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LI

J. I. KRASZEWSKI

BANITA

CZASY BATOREGO

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Na łąkach nadwiślnych, ranną godziną dnia wiosennego tego roku, widać było kilkudziesięciu jezdnych rozsypanych, a raczej rozstawionych po różnych miejscach, jakby się łowy jakieś przygotowywały.

Łacno było poznać w nich możnych panów z postawy a twarzy, i po rynsztunku wytwornym, który pomimo piękności swej nie bił w oczy. Konie też, na których panowie i słudzy siedzieli, odznaczały się równie maścią, jak budową, a psy, które się przy myśliwych kręciły, sokoły i białozory, które trzymali na rękach, także pięknością i doborem, a starannem utrzymaniem uderzały. To też ludek, przechodzący opodal, stawał ciekawy i długo się przypatrywał temu orszakowi, w którym łatwo się najdostojniejszego z panów, bo króla jegomości, domyślał.

On też to był w istocie; z nowemi ptakami, świeżo unoszonemi i nadesłanemi, próbował, azali się nie uda nacieszyć ich igrzyski.

Dzień był jak rzadko u nas się trafia na wiosnę, bo gdy zima chybi, a to się zdarza często, wiosna też kwasi się długo, nim zwycięży — tym zaś razem przyszła jakaś wesoła i piękna, tak, że po kilka dni cieszyć się sobą dawała.

Słoneczko weszło jasno i grzało już nawet przypiekając, rośliny się po deszczach, które przeszły, pod ożywczem ciepłem tem rozwijały z pośpiechem zdumiewającym. Co wczoraj jeszcze stało w pączkach, dziś młode listki zielone, jaskrawe wystawiało ku słońcu, żółte łotocie pootwierały się gromadnie i, jak złote opo-

ny, na łąkach leżały. Wierzby już się całe poubierały w nowe sukienki, niektóre brzózki napół pączki zrzuciły, trawy zieleniały barwą świeżości, wiosny i nadziei. W powietrzu wiło się i latało tysiące zbudzonych stworzeń, jakby upojonych powietrzem wonnem i czarem tej pory, zwiastunki żywota. Gdzieś z za łóz daleko odzywała się fujarka pastuszka i bydełko ryczało, podnosząc głowy, a smakując młodą paszę.

Całość tego obrazu, z niebem, po którem przepływały białe bawełniane chmurki z wezbranemi jeszcze wodami rzeki, w których się blask dnia odbijał, była jakby harmonijną pieśnią na cześć tego, co jest wiekuistem życiem.

Nawet smutnym i biednym ludziom, dla których wiosna nie przynosiła nic, oprócz wspomnień głodnej zimy, weselej było na świecie szczęściem cudzem. Człowiek, gdy się czasem zapomni, samolubem być przestaje.

Na ślicznym koniu wschodnim, którego grzywa spływała po karku falą jedwabną, żującym niecierpliwie misterne wędzidło, stał mężczyzna lat średnich i zdala stąd patrzał oczyma dziwnie smętnemi na zamek krakowski.

Wśród tutejszej ludności uderzała jego wschodnia jakaś, cudzoziemska fizjognomja, oliwkowa nieco cera, włos czarny, oczy ciemne, ogniste i wyraz twarzy poważny, rycerski, zadumany. Nie był właściwie pięknym; wiek mu już zdjął z lica urok młodości, a piętno życia i pracy położył na niej, ale z rysów tych mówiła dusza pełna jeszcze niezużytej siły, choć może dla szczęścia rozczarowana.

Stworzony do rozkazywania, żołnierz zdawał się w tej chwili dumać, co mu rycerstwo jego, trud i walki przynieść miały — bo szczęścia się nie spodziewał. W tem wejrzeniu nie było płaczliwych wyrzutów losom, ale pytanie przeznaczenia, ku czemu ono wiodło, jaki cel miało?

Ubrany w ciemną suknię, obszywaną sznurami, na pętlicę spiętą, przepasany pasem skórzanym, nabija-

nym srebrem, stał tak, jedną ręką w bok się ująwszy, patrzał, a obok niego także na koniu stojący, młodszy jeszcze ciemniejszej płci mężczyzna patrzał nań, szanując milczenie i nie śmiejąc go przerywać.

Tym mężczyzną był Stefan Batory, a towarzyszem — Węgier Cobar, którego z sobą do usług swoich przywiózł, szlachcic siedmiogrodzki, wielki pana swojego wielbiciel, a gorliwy sługa, dzielny żołnierz i dowódca.

Z Węgrami swoimi, gdy czasem tęskno mu na duszy było, król ten, który dostojność swą umiał nosić wysoko, do dawnej powracał poufałości. Serce mu się otwierało. I tego dnia był w usposobieniu posępnem, może właśnie dla wesołości wiosennej, która go otaczała.

Tajemnicze są ruchy ludzkiego ducha: niekiedy wesele rozbudza smutek, — i przeciwnie. Rozpacz może być straszliwie wesołą!

Dokoła widać było znaczną część dworu łowieckiego króla, z sokoły, białozorami, małemi kobuzami, krzeczotami, — i niektóre z jego legawych ulubionych i chartów. Stali na koniach porządek utrzymujący sokolnicy starsi, dwu Niemców, Polak — Łukasz Biedrzycki, poważny pan łowczy — Jan Krzysztoporski i wielu innych.

Łowy, rozpoczęte bardzo rano, niezbyt się powodziły, ale król przed chwilą śmiał się z tego i wcale mu to nie zachmurzyło czoła, dopiero teraz, gdy na zamek spojrzał, smutek jakiś powlókł mu rysy.

Cobar odgadywał myśli jego, ale pytać nie śmiał. I wszyscy stali tak, oczekując rozkazów, gdy król, jakby rozbudzony, obrócił się i skinął na Krzysztoporskiego, w kilku słowach dając mu swobodę pokierowania łowami po swej myśli. Sam on chciał też jechać z Cobarem, albo za nimi, gdyby się im powiodło natrafić na ptactwo jakie, lub użyć jeszcze świeżego powietrza.

Zwrócił się do Cobara z uśmiechem pańskim.

— Widzisz, chłopcze, — rzekł do niego królewskim tonem — nie wiedzieć skąd i dlaczego przypomniały mi

się kraje nasze, życie przeszłe i zrobiło mi się smutno. Nigdy nie byłem szczęśliwym... pono nim nigdy nie będę, żal zmarnowanego życia, ale tak chciało przeznaczenie, dola moja...

— A! miłościwy panie! — z zapałem ozwał się sługa — czyż może być większe szczęście, jak być wybranym od narodu i od pierwszego kroku laury zbierać zwycięskie! Wszyscy się zdumiewają wyprawom waszym, bo takich nie pamiętają od Witoldowych czasów.

— Prawda! — rzekł król gorzko. — Czuję też ich wdzięczność! Cobar, tyś nigdy pewno nie postał na sejmie i nie był zmuszonym, jak ja, mizernemu szlachetce, natrząsającemu ci się w oczy, wymawiającemu ci swoich kilka groszy poboru, odpowiadać dłonią na szabli, a łzami na oczach i zagryzionemi do krwi wargami. Oni wdzięczni? Połowa ich w łyżce wodyby mnie utopiła. Im potrzeba króla, coby, jak Zygmunt August, płakał i szukał pociechy w rozpuście! Ich wdzięczność! znam ją! Posłuchaj tylko, alboś i słyszał może: gotują mi truciznę — za mój trud i poświęcenie dla nich! Co ja tu zyskałem na tej koronie? Tytuł królewski — nic więcej! Każdy grosz mi wymawiają, gdy ja swojego dla nich dokładam!

— A! gdyby nie Jan, — dodał król — uczyniłbym może, jak Henryk i uciekł od nich do Siedmiogrodu.

Westchnął.

— Za późno. Związali mnie tu i ślubem, i przysięgą, i tem wreszcie, że im pokazać chcę, jak nimi rządzić potrzeba. Kiedyś może wspomną i pożałują. Żelaznej ręki na nich potrzeba do ugięcia tych karków krnąbrnych...

Oczy mu zaświeciły dziko.

— Stanie li życia na wszystko? — dodał. — Wiele, wiele jest do zrobienia.

Król rzucił okiem dokoła... i znowu oblicze powlokło mu się chmurą.

— Miłościwy panie, — odezwał się Cobar — jeżeli są niewdzięczni, gdzież ich niema? Taka już natura

ludzka, że człowiekowi dobrodziejstwo cięży, bo go upokarza, ale są też i wierni, i przywiązani do króla.

— Niewielu — odparł Stefan. — Naród to zresztą serdeczny, rad, kochający, ale, mimo męstwa swego, — płochy i dziecinny. Wytrwałości nie ma w niczem, zabawę przenosi nad pracę, życia nie waży wiele i trzeba mu dobrej nieszczęścia szkoły, aby się na mężów statecznych wyrobił. Życie w chwili zapału dać, majętność poświęcić, zdrowie ważyć, to u nich niczem, ale gdyby długo a cierpliwie choćby pierze skubać przyszło, żaden nie wytrwa. Krew w nich kipi, fantazja nieokiełznana, a rozum tylko dla drugich mają.

— No — dodał król z uśmiechem — na wymowie im też nie zbywa, lecz gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i siły nie mają.

I znowu król spochmurniał.

— Kraj taki rozległy pustyniami napół leży — mówił dalej. — Tatarom się podarkami okupywać trzeba, gdy ich dawno odeprzeć z dzikich pól należało. Teraz na granicy kozactwo się mnoży, będą z tego drugie Tatary, albo i gorzej, bo ich Moskwa łatwo sobie pozyszcze. Do czynienia jest dość! Ale czem, ale kim? Jeden Zamojski za wszystkich nie starczy, a drugiego takiego, jak on, nie znaleźć.

— A! miłościwy panie — wesoło rzekł Cobar, usiłując pana rozchmurzyć. — Tak się to podczas czarno wydaje wszystko, ale co roku jednak lepiej tu i ładu więcej. Oni sami to przyznają, a ci, co niechętnymi byli, nawracają się.

— Kto? gdzie? Nie nawróciłem ani jednego — przerwał król. — Spojrzyjże na tych Zborowskich. To najzajadlejsze wrogi moje, od nich wszystkiego się spodziewać można, począwszy od postrzału na łowach, aż do trucizny na półmisku. Próżno temu zbójowi, Samuelowi, banicję jego płazem puszczam, próżno zdrajcy podczaszemu bezkarnie daję z cesarzem się zmawiać, a trzeciego na marszałkostwie przy sobie cierpię, — nie potrafiłem ich przejednać.

— Słyszałem jednak, że pan hetman ich uchodził—

rzekł Cobar — i spodziewa się, gdy wasza królewska mość posmarujesz ich, że i ci się ukorzą.

Król się odwrócił żywo.

— Kto? Zborowscy? — zawołał. — Ty ludzi nie znasz! Samuel głowy nie ma, a Krzysztof — tylko głowę bez serca i sumienia. O Andrzeju nie wiedzieć, co twierdzić, bo w maszkarze całe życie chodzi. Jeden Jan z nich coś wart, bo go rycerska służba szlachetniejszym uczyniła. Gdyby się nawet chcieli zbliżyć do mnie, ja do nich nie chcę! Samuel banitą jest, dopuścić go do siebie nie mogę, a podczaszym się brzydzę, bo nawskroś w nim zdrada i ciecze z niego na wsze strony... Tego nic nie poprawi; zdradzi mnie dla cesarza, zdradzi cesarza dla moskiewskiego cara, a tego — dla Wołoszyna i Turka, aby dostał zapłatę, a pochwyci ją, to zmarnuje. Znać łotra nie chcę!

— Zda mi się, że pan hetman za nim wstawiać się będzie — szepnął Cobar.

— Choćby on i Gryzelda nawet prosiła, — dodał król — z nim nic do czynienia mieć nie chcę. Zowie się i pisze radą cesarską, niech na radę do cesarza jedzie i lepiej tu nie powraca.

Mówiąc tak, król jechał powoli, konia na cuglach wstrzymując, a oczyma biegając po okolicy. Ptactwa małego krążyło w powietrzu mnóstwo, ale takiego, na któreby sokoły puścić było warto — nigdzie nawet bystre oko Biedrzyckiego dostrzec nie umiało. Sokoły i białozory, kapturami przyodziane, dzwonkami czasem potrząsając, siedziały smętne na rękawicach pachołków, którzy je wieźli. Psy legawe wietrzyły po ziemi jakoś obojętnie, jakby się nie spodziewały nic znaleźć. Charty ziewały, służba nawet znużoną się wydawała.

Wtem opodal nieco na niebie jasnem, z rozpostartemi szeroko skrzydłami, jakby na miejscu w powietrzu stojący nieruchomo, ukazał się ptak duży, w którym jastrzębia starego łacno rozpoznać było można.

Z sokoły — na sokoły, jastrzębie, kobuzy, kanie i inne drapieżne ptactwo rzadko kto polował, bo to

łowy były, co mogły siła kosztować. Noszone ptaki łowcze — drogie były, a w tej walce z dzikiemi często kaleczały, albo nawet i na śmierć mogły być ubite. Rzadko więc bardzo i mało kto — dla bardzo ciekawej i zajmującej walki, chciał drogie swe ptaki ważyć. Nawet gdy na czaple polowano, często przeszyte ich ostrym dziobem, na które się same w wojowniczym zapale rzucały, przepadały, a w walce z jastrzębiami i orły niekiedy rycerz przyswojony nie dotrzymał swobodnemu i dzikiemu.

Król, któremu ptaki jego ulubione były, a niemało kosztowały, rad oszczędzał je i nigdy prawie na drapieżników nie puszczał. Co mu się tego dnia stało, gdy ujrzał jastrzębia, jakby urągającego mu się, stojącego w powietrzu, gdy myśliwi coraz się ku niemu zbliżali — on to jeden wiedział. Skinął na Biedrzyckiego, który pędem nadbiegł do króla.

Stefan, milcząc, wskazał mu palcem jastrzębia, ale pan Łukasz oczom nie wierzył i rzekł po łacinie:

— *Accipiter.*

Król prawie z całym dworem swym po łacinie rozmawiać musiał.

— Widzę — rzekł w tym języku — i myślę, że nasz duży kosacz dałby mu radę.

— Zaprawdę, — zawołał Biedrzycki — ale za to ręczyć nie można, aby się i z niego pierze nie posypały, bo dziki bronić się nie omieszka.

— A myślicie, iż kosacz się na niego rzuci? — zapytał Stefan, zatrzymując konia.

— Byle go zoczył; — odparł pan Łukasz — lecz szkoda ptaka.

Król pomyślał. Jakaś fantazja pańska przebiegła po głowie jego, dał znak, aby kosaczowi kapturek zdjęto. Podbiegł na skinienie Szmalder, Niemiec, niedawno sprowadzony, który się rad był popisać przed królem.

Domyślali się wszyscy, że ciekawy pojedynek odbyć się ma między dwoma zapaśnikami.

Ogromny jastrząb ciągle jeszcze, nie myśląc uchodzić, to powolnym ruchem skrzydeł podnosił się nieco

ku górze, to majestatycznie spływał odniechcenia ku ziemi. Ludzie i konie wcale się go obchodzić nie zdawali. Bystremi oczyma wypatrywał skrytych gdzieś na roli ofiar swych, na które miał się rzucić, jak piorun z obłoków.

Tymczasem gotowano się na niego kosacza wypuścić. Sokół to był już doświadczony i jeden z najprzedniejszych, nieraz ranny i wyleczony, silny a śmiały. Na niego rachować było można, iż się nie ulęknie, z placu nie ujdzie, ani się da pożyć.

Wszystkich oczy zwróciły się ku Szmalderowi, który z kosaczem na rękawicy, jeszcze mu nie zdejmując kapturka, kłusował, zbliżając się ku miejscu, gdzie się jastrząb nad łąką kołysał.

Niemiec dopiero, gdy dobre miejsce obrał i ustawił się tak, aby sokół mógł natychmiast ujrzeć nieprzyjaciela, odsłonił mu skórzany kapturek. Kosacz strzepnął głową dumną i skrzydłami, czując, że go wyzywają, podniósł krwawe oczy, i gdy Szmalder nogi mu z pęt rozwiązywał, już się do lotu zrywać zaczął. Przeciwnik jego wciąż jeszcze stanowiska nie opuszczał.

Wtem stary kosacz, rozstawiwszy skrzydła szeroko, szybkim odrazu lotem naprost się puścił na nieprzyjaciela, który go jeszcze widzieć się nie zdawał.

Sokół był niedaleko od niego, gdy widząc, że nań zmierza, jastrząb zwinął się i nieco ku górze się wzbiwszy, zdawał się chcieć rozeznać, czy wyzywający wart był, aby przyjąć zaczepkę.

Tymczasem wprawny i doświadczony kosacz, zbliżywszy się ku jastrzębiowi, zaczął toczyć dokoła, wybierając stronę, od której się ma rzucić na niego.

Tu już wyraźniej zaznaczyło się obu ich w przyszłej walce stanowisko. Dziki jastrząb nie wyzywał do niej, ale i uchodzić nie myślał, kosacz zaś z zajadłością znużonego długim spoczynkiem zapaśnika — coraz szybciej otaczał go, kołując i jakby zabawiając się obrotami, do których go zmuszał.

Krótki ten przeciąg czasu starczył, aby w obu krew zagrała, pierze się najeżyły i ochota do boju urosła.

Jastrząb snać nie spodziewał się, aby kto nań mógł ważyć, ale walkę, do której był wyzwany, przyjmował. Kosacz zdawał się zabawiać niespodzianką, jaką mu sprawił i coraz ciaśniejszym kręgiem opasując go, ociągał się z rzuceniem na nieprzyjaciela.

Widzowie patrzyli z zajęciem wielkiem, król się uśmiechał nawet, a sokolnicy drżeli, tak ich to przyszłe starcie gorąco obchodziło. Wszyscy w niém byli z sokolnictwem całem zainteresowani. O cześć i sławę chodziło.

Nakoniec kosacz, gdy się nieprzyjaciel najmniej spodziewał może, na kark mu się rzucił i szpony w pierzu jego zatopił. Ale trwało to zaledwie krótką chwilę, dziki mu się wyśliznął i dziób z dziobem stanęli, skrzydły ogromnie robiąc, naprzeciw siebie. Pióra się już sypały...

Po kilkakroć dziki jastrząb wymknął się z pod dzioba i sam próbował paść na kosacza; zawsze go stary sokół skarcił, zręcznie mu się wyślizgując i korzystając z obrotu, aby go ranić.

Widocznem było, że mimo męstwa mniejszego wzrostem dzikiego ptaka, ulegnąć on musi, acz kosaczowi niełatwo przychodziło zwycięstwo. Zmusił go spuścić się ku ziemi, ale dziki natychmiast porwał się znowu do góry; ponowiło się to kilkakroć. Jastrząb znużony zdawał się chcieć ponad łąką uchodzić ku rzece, gdy sokół jeszcze raz całą siłą na niego uderzył i oba razem znikli w trawach, ponad któremi tylko ich skrzydła szamoczące się widać było, a wkrótce potem podniosła się głowa i zakrwawiony dziób kosacza, który darł pierze z żywego jeszcze, ale bezsilnego przeciwnika.

Szmalder chciał dobiec na miejsce, aby zapobiec niepotrzebnemu męczeniu się drogiego sokoła, ale koń jego ugrzązł w moczarach i on sam, wyskoczywszy z siodła, pieszo się, berło unosząc nad głową, musiał puścić dla odzyskania zwycięzcy.

W ciągu tej walki oczy wszystkich tak stale były wlepione w bojujących sobie wrogów, iż nikt na chwi-

lę oderwać ich nie mógł od nich. Sokolnicy uśmiechali się z radości, król na siodle oparty, cieszył się widocznie triumfem swojego wychowańca. Cobar też więcej może dla pana, niż dla siebie, zabawiał się tem, iż panu rozrywkę sprawić się udało.

Z kosaczem na ręku, któremu zaraz kawał krwawego mięsa podał jego opiekun, niemile grzęznąc w błocie, Szmalder powracał do swoich. Król skinął, aby mu przyniósł kosacza, który po opatrzeniu okazał się też rannym i pierza dosyć utracił, ale butno wyglądał i czerwonemi oczyma wodził dokoła, jakby nowego wroga szukał.

Gdy się to działo na łące, nie postrzegł ani król, ani ci, co z nim byli, iż kanclerz się konno zbliżył ku miejscu temu, i gdy Stefan sokołem się zabawiał, stanął za nim, czekając, aż swych łowczych odprawi. Król teraz dopiero spostrzegł Zamojskiego i jak zawsze mu rad był, tak i teraz twarz rozjaśnioną zwrócił ku niemu. Szczęśliwa walka przyczyniła się też może do rozjaśnienia czoła i rozproszenia czarnych myśli.

W gromadzie łowców, towarzyszących królowi, zawiązały się naturalnie gorące rozmowy o pojedynku, którego byli świadkami. Podziwiano zręczność kosacza, ale i ubity jastrząb, którego czeladź oglądała, wskazując, jak strasznie był zamordowany, męstwem swem na pośmiertne zasłużył pochwały.

Tak szczęśliwe łowy dnia tego pamiętnemi stać się miały długo, przez rzadko widywany pojedynek dwóch drapieżnych.

Król dał znak Krzysztoporskiemu, iż go wraz z jego komendą opuszcza, sam zaś z Zamojskim i Cobarem, który nieco wtyle z dwoma przybocznymi Węgrami pozostał, brzegiem rzeki stępią począł wracać ku Krakowu.

Zamojski miał twarz nowożeńca szczęśliwego, a choć nie pierwociny mu były ślubować, bo dwie już żony wprzódy był utracił, szczęście jego teraźniejsze równać się dawnemu nie mogło. Podnosiło go ono aż do tronu, a to powodzenie w życiu, które winien był wiel-

kim swym przymiotom, ale i szczęściu zarazem wielkiemu — budziło w jego duszy jakieś wdzięczne uczucie i pragnienie, aby świat cały z nim razem również był szczęśliwy. Nigdy też może poważnego kanclerza nie widywał Stefan tak wesołym i usposobionym łagodnie.

Wszczęła się rozmowa o łowach naprzód, ale wnet bieżące sprawy, których siła każdego dnia nadchodziło, zmusiły kanclerza o czem innem zagaić.

Łudzono się jeszcze tem, że się uda Possewinowi pozyskać cara moskiewskiego dla Rzymu, chociaż Zamojski najmniej temu ufał. Zakon tymczasem jezuicki zyskiwał na znaczeniu i zaufaniu u króla, któremu dysydenci za złe mieli, że się zdawał szczególną go otaczać opieką.

Stefan widział w nim, oprócz wojowników, którzy starali się zachwianą jedność kościoła przywrócić, czynnych protektorów światła i dla szkół gdzie mógł, wszędzie ich osadzał, bo szkół i oświaty brakło, a nikt naówczas przewidzieć nie mógł, jaki ona w rękach zakonu kierunek przybierze...

Z mnogich Batorego czynów widzimy dowodnie, że fanatyzmowi nie hołdował, że dla protestantów był wyrozumiałym i nigdy ich prześladowaniem nie nękał, ale interesa katolickiego kościoła, na którego łonie Polska urosła, i Zamojskiemu i królowi najdroższemi być musiały. Jedność też wiary w państwie, jako dźwignia zgody i spólności, nie mogła być im obojętną.

Właśnie o zgodzie i pojednaniu ze wszystkimi zagaił, jadąc, Zamojski i, naturalnie, o Zborowskich królowi wspomniał. Zmarszczył się Batory, bo naleganie to dokuczliwem mu było.

— Radbym w tym dniu wesela — zawołał Zamojski — i moich, i miłości waszej nieprzyjaciół rozbroić i przejednać. Zdaje mi się, że Zborowscy są skłonni do nawrócenia się i poprawy.

— A wy, Janie mój, — przerwał król — wierzycie w poprawę tych, co do siwego włosa zdradą żyć nawykli? Ja w poprawę takich ludzi nie wierzę. Przy-

czaić się oni mogą, — przemienić nigdy! A my dla kilku Zborowskich niechętnych nie zginiemy.

— Tak, najjaśniejszy panie, — odparł kanclerz — lecz za nimi kilku wlecze się ogon niezliczonych warchołów, którzy na nich patrzą i za nimi idą. Jana gnieźnieńskiego mamy z sobą i nigdy nie było powodu ani wątpić o nim, ani go podejrzewać. Andrzeja, o ile znam, dobrodziejstwy i jurgieltem kupić można... a mnie się zda, że zubożały a zniechęcony do cesarza Krzysztof takżeby się dał ująć.

— Krzysztofa ani tykać nie chcę!—zawołał król.— Mówicie, że zubożały jest... A cóż zrobił z okupem?

— Z jakim? — zapytał kanclerz.

— Znacie przecież tę historję, którą tu mi opowiadano, bo głośną jest. Wszak ci się starał Krzysztof o siostrę hospodara wołoskiego, który mu jej dać nie chciał, potem, mszcząc się na hospodarze, pochwycił go zdradą w niewolę i póty Zborowscy więzionego na zamku trzymali, aż znaczny bardzo okup z niego wzięli, równający się posagowi odmówionej hospodarównej.

Rozśmiał się król.

— A! stare to są dzieje! — rzekł Zamojski. — U Zborowskich pieniądze topnieją prędko. Od tej pory mieli już czas i wołoską sumę stracić, i od cesarza wymóc, co tylko mogli... i od cara moskiewskiego dostać zadatek, a z tego wszystkiego nie pozostało śladu. Jeszcze się coś trzyma przy Andrzeju, jeszcze po matce dzieci Samuela mają dobra, choć zadłużone, a Krzysztof pono nie ma nic, tylko to, co u niego wyłudzi. Cesarz mu pewno jurgielt płaci, niedarmo się jego radą nazywa, ale to nie starczy. Chciwy jest i rozrzutny.

— Sameś rzekł — odparł żywo Batory. — Z takiego człowieka pożytek wątpliwy, a woru dziurawego nie zapchać. Więc gdybyśmy z nim nawet zgodę mogli pozyskać, nie warta ona tego, co będzie kosztowała. Zdradzi nas temu, kto da więcej.

— Oko na niego mieć będziemy, a bracia nam pomogą — dodał Zamojski. — Czasu wojny i Samuelby

się nam przydał, żołnierz mężny, choć warchoł nieunoszony, ale i takich czasem potrzeba...

Król mocno głową rzucał, słuchając.

— Daj ty mi pokój ze Zborowskimi — rzekł. — Samuela znam, bo u mnie gościem był i służył mi czas jakiś, ale od tej pory rozpasał się, słyszę, więcej jeszcze... Do Andrzeja, choć i jemu, i całej tej krwi nie wierzę, chętniej się zbliżę, dam mu coś, z innymi nie nalegaj!

Kanclerz przez chwilę milczał.

— Uczynicie, miłość wasza, wedle życzenia i woli, ale ja nie przestanę wstawiać się za nimi, abym sobie do wyrzucenia nie miał, iż zaniedbałem środek jaki ku przejednaniu. Nam zgody potrzeba... Nieprzyjacioły otoczeni, dobrze, abyśmy ich choć we wnętrznościach naszych nie żywili.

Westchnął Batory i jechali powoli, coraz się zbliżając ku miastu. Nieśpieszno było snać królowi na zamek, gdyż stosunki z Anną Jagiellonką zmuszały go do ciągłego kłamstwa, którem się brzydził. Miłość zmyślać, a nawet poufałość większą się wzdragał. Zaś dać przykład poszanowania i zgody czuł się obowiązanym, tem bardziej, że już złe języki szukały jakichś pozorów do potwarzy i palcem wytykały osoby.

Anna Jagiellonka, oziębłością męża niemal obrażona, wcale się o pozyskanie serca jego nie starała. Od pierwszej chwili jawnem było, iż to małżeństwo, dla korony związane, pozornym tylko związkiem pozostać miało. Królowę opatrzono osobno, płacono jej oprócz tego pensję, miała dobra znaczne, dwór oddzielny, ludzi swych i przyjaciół, a król tak rzadko z nią razem mieszkał, iż się nawet nieczęsto widywali. Na zamku, gdy gościł, stół nawet miał osobny. Po polsku z Batorym rozmówić się nie mogła, a choć łacinę rozumiała, tak biegłą, jak matka jej, Bona, w niej nie była. Mówili więc z sobą najczęściej po włosku.

Na dworze też języków różnych można się było nasłuchać. Król po węgiersku ze swymi Węgrami, po łacinie z Polakami, po włosku z żoną rozmawiał, a nie-

kiedy i po niemiecku z przybyłymi mówić musiał. Francuszczyzna przebijała się tu i owdzie, wśród służby i język ruski dawał się słyszeć, szczególniej, gdy król był na Litwie.

Polskiego języka trzeba było szukać po dworach pańskich, jak u Zamojskiego, który Kochanowskiego miał przyjacielem, a książki polskie rad czytywał. Uprawiało go też duchowieństwo na kazalnicach i wydawanych zbiorach kazań, a po dworkach szlacheckich krążyły małe książeczki, które Łazarze w świat puszczali, ku uciesze pospolitego człowieka.

Król sam, choć drukarzom przywileje dawał, wyszlachcał ich, kunsztmistrzów wspomagał i sprowadzał nawet, ani literaturą, ani sztuką zabawiać się wielce nie miał czasu. Jego rzeczą była wojna i jej rynsztunek, a szczególniej organizacja sił nowych, które niezależnemi od fantazji szlachty chciał uczynić. I to właśnie oburzało ją przeciwko niemu, a najgroźniejszem się jej wydawało.

Chłop z królewszczyzn z rusznicą i szablicą zagrażać się już zdawał porządkowi społecznemu, a szlachta też o przywilej obrony kraju i przelewania krwi dla niego była zazdrosną. Czuła ona, że gdy to prawo wyłączne utraci, razem z niem i prawo bytu jej, a odrębności zostanie wątpliwem.

A że król oprócz tego mieszczan i kunsztmistrzów gromadnie uszlachcał, ten napływ nowych żywiołów obudzał strach i gniew.

Zamojski i król wiedzieli, co czynili, a nic nie mogło być dotkliwszem dla starych Jastrzębczyków Zborowskich, gdy im do ich herbu wkupił się kędyś mieszczanin, jak wówczas powiadano, za kilka beczek piwa, albo mały datek.

Król, jakby na przekorę, wielu uszlachconym z własnego herbu dawał to zęby, to skrzydło. Zamojski też swych trzech włóczni nie szczędził, to dwie, to jedną, to hełm swój dając nobilitowanym.

Zanosiło się na zupełny przewrót dotychczasowego stanu rzeczy i nie jedni Zborowscy obawiali się go, ale

cała szlachta w nowem wojsku i nowo uszlachconych— nieprzyjaciół widziała.

Obojętniejszą wiodąc rozmowę, kanclerz na zamek razem z królem powracał, gdzie już łowcy i sokolnicy, z koni zsiadając, psy, konie i ptaki na miejsca swe odprowadzali.

Na progu komnat uparty Zamojski jeszcze Zborowskich przypomniał.

— Marszałek niech przyjdzie, przyjmę go — odparł Batory — o innych mi nie mówcie, znać ich nie chcę!

Z tem król do swych izb się zawrócił, ale kanclerz nie tracił nadziei i pocichu sobie obiecywał, że dla Krzysztofa posłuchanie wyjedna.

II.

Kanclerz kazał oznajmić marszałkowi, że król jegomość przyjmie go na zamku w rannej godzinie, lecz razem dał mu znać, że radby z nim wprzód mówić i że tego była potrzeba.

Pomimo mnogich zajęć, Zamojski umiał o wszystkiem pamiętać, a istotnie uczucie szczęścia, jakiem był przejęty, podwajało siły jego, tak, że i sprawom bieżącym i przygotowaniom weselnym mógł podołać.

Gdy wiadomość ta nadeszła na Franciszkańską ulicę, na Janie uczyniła wrażenie dobre; rad był jej, ale sobie zbyt wiele nie obiecywał. W Krzychniku i marszałku powołanie pierwszego zrodziło przesadzone nadzieje. Tłumaczyli to sobie jako znak, że się ich obawiano i rozbroić usiłowano.

Andrzej namyślał się już, jak wysoko ma się ocenić.

Krzychnik, o którym tymczasowo mowy nie było, wnosił tylko z tego, że naprzód chciano łatwiejszego z bratem dokonać, a z pomocą jego do pana podczaszego „rady cesarskiej" przystąpić.

— Głupimbyś był, — rzekł porywczo — gdybyś, stanąwszy przed królem, sprzedał nas za miskę socze-

wicy. Oczywista rzecz, że król i Zamojski zmuszeni są nas łagodzić, bo się równie, jak nas, i Samuela obawiają, zdamy się im — na szyderstwo zasłużymy...

Pan Andrzej nic mówił nic, ale myślał tak samo. Chciał wyciągnąć jak najwięcej.

Kasztelan gnieźnieński, lepiej znający położenie, mówił zimno:

— Nie żądajcie nadto, bo nic dostaniecie nic. Pocznijcie od małego, zasłużycie się potem, zyszczecie więcej. Trzeba naprzód za grzechy odpokutować.

Szydził z tego Krzychnik.

— Gdybyśmy was słuchali, — rzekł — niedalekobyśmy zaszli. Zostawcie to nam.

O naznaczonej godzinie marszałek jechał na zamek.

Przyjął go kanclerz, w którego przedpokoju czekało coniemiara kupców i rostruchaczy, i cudzoziemców, i petentów różnych. Czas tu był drogi.

Zobaczywszy marszałka, Zamojski podszedł ku niemu, uprzejmie go witając.

— Wyrobiłem wam posłuchanie u króla jegomości, — rzekł — lecz chcę przestrzec, że mi to nie przyszło łatwo, i że król długo urazy pamięta. Na początek nie wymagajcie wiele, życzę i radzę.

Pan Andrzej stał wielce napuszony.

— Wedle mej miary — rzekł — ja wcale wymagającym nie będę, alem na łaskę długo czekał, długo jej bez przyczyny był pozbawiony, czyżbym o zaległość nie miał się upomnieć?

Zamojski okazał twarz zdumioną. Pan Andrzej mówił dalej.

— Gdyby nawet który ze Zborowskich zgrzeszył przeciw królowi jegomości, przecie ja, a rodzina cała za jednego ze swych członków odpowiadać nie może. Gdzieżby była sprawiedliwość?

— Panie marszałku, — przerwał Zamojski — uderzcie się w piersi, czy wy też sobie nic do wyrzucenia nie macie?

Poruszył ramionami Zborowski.

— Przeciwko królowi nie czyniłem nic — rzekł.

Zamojski, do którego się już wszystkiemi drzwiami dobijano, dodał zimniej tąż samą przestrogę i gościa grzecznie odprowadził do antykamery.

W pokojach, które król zajmował, było także dosyć ludno, ale tu tryb powszedni się nie zmieniał. Nie było najmniejszej okazałości. Węgrowie i Polacy poubierani skromnie, bo i pan się nie stroił, żadnej wytworności w komnatach. W znacznej części stał tu jeszcze sprzęt z czasów Zygmunta Starego i Augusta, nowego nic nie przybyło. Na ścianach malowania i opony daleko jeszcze były starsze, bo niektóre sięgały czasów Kazimierza Jagiellończyka.

Stefan Batory przywiózł z sobą tylko to, co do obozu zabierał, nie potrzebował więcej. Majestat jego w nim był cały i nie potrzebował żadnego pożyczanego blasku. Owszem, ta prostota nadawała mu jakąś pewność siebie, którejby przepych nie przyniósł.

Dwór też nie składał się z gąb nadaremnych... liczyli się do niego wprawdzie i muzycy, i czasem kunsztmistrz jaki, Włoch, który dla kogoś konterfekt króla malował, albo z kolorowego wosku lepił. Zaglądali nawet magicy i astrologowie, ale darmozjadów, trefnisiów i pasorzytów nie było.

Nawet przyjmując posłów obcych, na których nie zbywało nigdy, bo szczególniej ci, co przyjeżdżali od wschodu, na poselstwach zarabiając, na podarki licząc, lubili tłumnie i często przybywać pod łada pozorem, Batory się nie wysadzał na kosztowne stroje... dwór też musiał iść za nim. Czasami kontrast jaskrawo poprzyodziewanych w szkarłaty senatorów, a ciemno i niepokaźnie ubranego króla był bardzo rażący, ale na korzyść jego wychodził.

Gdy marszałka oznajmiono, wysuwał się właśnie od króla Włoch Franciszek, rysownik, który mu do Płocka towarzyszył i rysunki swe potem wydał, otrzymawszy przywilej na nie, aby się ich nikt nie ważył przerabiać.

Leżały one jeszcze na stole, a Stefan im się uważ-

nie przypatrywał, bo w wojskowych planach i widokach miał upodobanie i znajomość wielką, gdy Zborowski pokazał się na progu, i napół dumnie, pół pokornie króla pozdrowił, do ręki nie śmiejąc, do kolan nie chcąc...

Wiedział, że król pochlebców nie znosił i nazbyt się uniżonym okazać nie życzył.

Batory, plany odsunąwszy, powoli się zbliżył do niego, twarz wypogodzona, spokojna, nie zdradzała jednak szczególnie łaskawego usposobienia.

— Dawnośmy nie widzieli was, panie marszałku— zagaił król.

— Wiedziałem, — począł pan Andrzej — że w. kr. mość przeciwko rodzinie naszej jest niechętliwie usposobioną, nie chciałem narażać siebie, ani przykrości czynić.

Król cokolwiek pomyślał.

— Nazywacie to usposobieniem niechętliwem, — rzekł — ale ono nie przyszło bez przyczyny... owszem, był czas, gdym Zborowskim sprzyjał i miał ich za przyjaciół. Samuel siedział u mnie...

— Toż zaprawdę nie wiem, dlaczegośmy stracili miłość królewską, — odparł Andrzej — ja się nie czuję winnym.

Batory spojrzał na niego; spotkały się ich oczy, a szczere, otwarte spojrzenie króla sięgnęło tak głęboko w duszę Andrzeja, iż pomimo całej mocy nad sobą, jak schwycony na uczynku, zmieszał się.

— Nie sądźcie, abym się ja słowy dał oplątać i uwierzył lada zapewnieniu — rzekł król. — Jam tu gospodarz, mówiłem wam zrazu, że malowanym nie chcę być i nie będę, a więc wiem, co się dzieje, co się mówi, zamierza, knuje i co sądzicie tajemnem. — Nie było mi skrytem, co wasz brat, podczaszy, na dworze cesarskim i w interesie cesarza poczynał, ani to, żeście wy ostrożnie z nim trzymali, ani że Samuel głosił się moim wrogiem, nazywając mnie niewdzięcznym.

— Jam nigdy nic nie poczynał, — rzekł marszałek — do robót brata mojego nie mieszałem się, ale

dla samego powstrzymania go nie mogłem go porzucić. Dziś zaś i brat mój dla cesarza nie czyni nic, bo tu interesów cesarskich niema.

— Tak, próbował też moskiewskiego księcia i jest z nim w listowaniu, to wiem — odparł Batory.

Marszałek gorąco obstał za bratem.

— Mógł wielki kniaź posyłać z listy do niego, bo tego mu zabronić niepodobna, a odpowiedzieć nie grzech, — zawołał — ale tam też ani brat, ani ja nie mamy do czynienia nic, boć to jawny nieprzyjaciel Rzeczypospolitej.

— Zostawcie to mnie, — odezwał się po chwili król — co mam o tem trzymać. Do was ja wielkiego żalu nie mam. Jeżeli serca do mnie nie macie, przynajmniej jawnie przeciw mnie nie stajecie. Mówił mi kanclerz, iż życzyliście mieć posłuchanie, że macie żądania. Słucham chętnie.

Marszałek głowę nieco schylił i zaraz ją podniósł, pańską przyjmując postawę. Zanosiło się na długą rozmowę.

— Miłościwy panie! — rzekł — nasza rodzina wam może nieznana jest; może nie wiecie, jakie stanowisko zajmowała, ale cały świat wie, żeśmy się do *primates regni* liczyli, żeśmy pierwsze krzesła zasiadali i buławy dzierżyli, a dziś za tego panowania ostatni niemal jesteśmy. Krzywda się nam dzieje okrutna, bolesna.

— Któż winien? — odparł król. — Przecie kasztelan gnieźnieński, istotnie zasłużony, uskarżać się nie może, — buławę dostał, a i wyżej sięgnie, gdy da Bóg życie. Wyście stali zdala. Podczaszy gorsze jeszcze zajął stanowisko, Samuel banitą, cóż można było dla was uczynić? — Krew i ród dobrą są rzeczą, ale nie dla krwi i rodu rozdają się urzędy, tylko dla zasług i zdolności. Ja dużo ludzi szlachcicami czynię, ale widzę ich wielu, co nimi będąc, nie zasługują, żeby starą tarczę nosili. Cóż chcecie, abym dla was zrobił?

— Ja za sobą tylko mówię — wtrącił marszałek. — Rodzina nasza, zubożała znacznie na posługach Rzeczypospolitej, ma parwo do grosza publicznego. Jać

też w. kr. mości służę, a to, co biorę za zasługi, na utrzymanie czeladzi mi nie starczy. Dlatego mi się na dworze pokazać trudno.

— O jurgielt wam idzie? — przerwał niemal pogardliwie król.

Pan Andrzej się skłonił.

— Zajrzyjcież do skarbu, zobaczcie rachunki: są lata, że ja z moich pieniędzy dokładam — mówił Batory. — Tego wam nie wyrzucam; czynię to chętnie, Bóg świadek, lecz wy mnie wyrzucacie to, czego ja nie biorę. O ile stanie grosza, chętnie wam naznaczę.

Chwilę pomyślał król i spytał:

— Ileż, panie marszałku?

Pan Andrzej z dumą rzekł:

— Cztery tysiące florenów nie starczy.

Król się cofnął i roześmiał.

— Cztery tysiące? — powtórzył, jakgdyby chciał dać do zrozumienia, że usługi marszałka wcale takiej dotacji nie były warte. — Cztery tysiące...

Zborowski stał zmieszany nieco.

— Dałbym wam choć i cztery, — zawołał Batory — ale wierzcie mi, że ich w skarbie nie mam — i że nie mogę tej przysługi uczynić. Zobaczcie podskarbiego, mówcie z nim, tajemnic nie ma, okaże wam, co w skrzyniach leży. Lecz nie chcę was odprawiać z niczem, marszałku, na dwa tysiące się zmogę, a od was wzamian nie wymagam nic, oprócz, żebyście mnie potwarzami nie okrywali.

Zborowski tym datkiem, krakowskim targiem połowy, był mocno obrażony. Poczerwieniał, pobladł, zabełkotał coś, ale się lękał i tego postradać; skłonił się w milczeniu, nie wysilając na podziękowanie.

Batory, który też więcej nic z niego wyciągnąć się nie spodziewał, a czytał mu z twarzy, że go nie zaspokoił, cofnął się ku stołowi. Nastąpiło milczenie, które oznaczało, że sprawa załatwioną została. Król jednak jeszcze słów kilka chciał dorzucić i zwrócił się do stojącego.

— Macie zapewne wpływ na młodszych braci, —

rzekł — wstrzymujcie ich od niebacznych kroków; ja wiedzieć muszę wszystko, a nic przebaczyć nie mogę. Nie o mnie chodzi, gdy przeciwko mnie spiskujecie, ale o Rzeczpospolitą, której ja wodze w ręku trzymam. Ci, co się na woźnicę rzucają, wóz podają w niebezpieczeństwo.

Wtem na antykamerze zaszumiało... nadchodziło duchowieństwo. Marszałek, mrucząc, prędko się cofnął.

Chociaż z urzędu na zamku powinien był być jak w domu, nie sprawiając oddawna obowiązków, Zborowski niemal był obcym. Ci, co bliżej króla stali, odsuwali się od niego, wiedząc, iż Zborowscy podejrzani byli i zachowania tu nie mieli.

Nikt więc wychodzącego nie zatrzymał, rozstępowali mu się i koso spoglądali na niego, aż z dumą i pańską postawą powoli przeciągnął w dziedziniec. Tu stał koń jego i ludzie, ale siąść nie chciał, poszedł pieszo.

Całe to posłuchanie, wyrazy królewskie, które sobie powtarzał, surowość Batorego — oburzały go, omylone nadzieje upokarzały. Wychodził z zamku daleko zaciętszym wrogiem, niż przyszedł. Dwa tysiące jurgieltu zdawały mu się jakby na szyderstwo rzuconemi.

Szedł tak pieszo aż na Franciszkańską ulicę, a gdy blady i milczący ukazał się w progu mieszkania podczaszego, który właśnie pisaniem jakiemś był zajęty, Krzysztof, podniósłszy oczy, już wiedział, że posłuchanie u króla wypaść musiało nieszczęśliwie.

— Od króla wracasz?

— Jeżeli on wart tego nazwiska, — zawołał, własne słowa Krzychnika powtarzając, marszałek — wracam z posłuchania najmiłościwiej mi danego, z którego nic nie przynoszę, oprócz sromu na czole. Myślisz, że się jego usposobienie zmieniło? że łaskawszym jest dla nas? Przyjął mnie, aby mi gorzkie czynić wyrzuty; dostało się i wam, dostało rodzinie. Prosiłem go o jurgielt — cóż myślisz? Żądałem cztery, raczył dać dwa, jak jałmużnę!

Krzychnik się skrzywił.

— O! mnie on tak nie kupi! — zawołał.

— Ale on cię targować nawet nie myśli, a, jak sądzę, i widzieć nie chce.

Podczaszy wąsa pokręcił.

— Tak? — rzekł. — Dobrze o tem wiedzieć. *Clara pacta!* ja to lubię...

Andrzej padł na siedzenie. Gniewu w sobie stłumić jeszcze nie mógł.

— Co myślisz, łagodził, przejednywał? — zawołał. — Nie, groził i przestrzegał! Oznajmił mi, że wie o wszystkiem, a nic nie przebaczy.

— Tak więc stoimy z łaski Jana i kanclerza, — przerwał Krzysztof — tak stoimy! należy o sobie myśleć, a na jego królewską mość nie rachować! Mali ludzie, jakimi nas chcą uczynić, często wielkim dojeść mogą. Zobaczymy, co z tego urośnie.

Oba tak wykrzyknikami podsycali w sobie gniewy, ale Krzysztof był przekonanym z tego, co od brata słyszał, że Andrzej był winien wszystkiemu, nie umiał się postawić, niezręcznie odpowiadał, płaszczył nadto. Podczaszy był tej myśli, że gdyby on się z królem widział, inaczejby poprowadził i do czego innego doszedł, traktując.

Wojna i spiski, choć były oddawna jego żywiołem, już mu się naprzykrzyły, wolałby był jakiś *modus vivendi* znaleźć i łatwiejsze życie. Nie miał Samuelowego zamiłowania w awanturach i wybrykach. Zamilkł więc wkońcu, mówiąc sobie w duchu, że byle się nastręczyła zręczność, gotów sam się stawić królowi.

— Gdyby i to do niczego nie doprowadziło — ha! naówczas pozostawało tylko starać się zgładzić Zamojskiego i króla.

On sam czynnym być ani myślał, — miał banitę w ręku, a lepszego narzędzia nie mógł żądać.

Jurgiełt tedy naznaczony marszałkowi, który miał burzę zażegnać, — nienawiść tylko rozżarzył i rozdmuchał.

Przez cały ten dzień kasztelana gnieźnieńskiego w domu nie było i nie widzieli go bracia, aż wieczorem, gdy od Tarnowskich powrócił.

Wiedział już o tem, że Andrzej miał u króla posłuchanie i że dwa tysiące jurgieltu otrzymał. Cieszył się i chciał mu powinszować, gdy marszałek usta mu zamknął:

— Gdyby królem nie był, byłbym mu przypomniał, iż był czas, gdy Zborowscy swoim marszałkom po dwa tysiące jurgieltu dawali.

— Ale to inne były czasy — rzekł kasztelan — i może dlatego my dziś brać musimy mało co, żeśmy niegdyś wiele i za wiele dawali!

Chciał się skarżyć Andrzej, ale mu Krzychnik nie dał mówić i przystąpił do kasztelana.

— No, — rzekł — ja się od króla i na zawinięcie palca nie spodziewam, ale byłoby źle, gdybym ja jeden go nie widział i był wyłączonym. Staraj się, kasztelanie, przez kanclerza, abym mógł z królem mówić. O nic go prosić nie będę, ale gdy mnie nie dopuści, powiedzą ludzie: — Patrzajcie, ten zdrajcą jest, niegodnym pańskiego oblicza. — Może przecie mówić ze mną, ja go oddechem nie zabiję.

Gnieźnieński zadumał się.

— Chcesz, — rzekł — pójdę do kanclerza, poproszę, wiem, że nie odmówi i króla prosić będzie, ale co z tego wyniknie?

— To moja rzecz! — przerwał Krzychnik. — Ja wiem, co czynię. On mnie już z banitą Samuelem na równi stawi... ja chcę i za sobą, i za nim mówić, bo choćby nikt się nie ważył, — ja Samuela nie opuszczę.

— Pójdę z tem do kanclerza — zakończył kasztelan.

Znowu tedy na zamek musiał, bo dla rodziny służył chętnie.

Zamojski wielce znużonym był, ale na wszystko i wszystkim starczyć musiał, a z panem kasztelanem i hetmanem, a w dodatku Zborowskim, przez posły nie można było czynić.

— Ślą mnie bracia — odezwał się kasztelan, wprost przystępując do rzeczy. — Andrzeja król przyjąć raczył, gwałtem się tego domaga Krzysztof.

— Ba! — odparł Zamojski. — Jam już próbował... ciężko będzie króla przełamać. Wie i jest przekonanym, że podczaszy jest nieprzyjacielem jego.

Westchnął, słysząc to, kasztelan.

— Krzysztof własnym jest pono przedewszystkiem nieprzyjacielem! Królby go trochą łaskawości sobie pozyskał.

— Żądacie tego po mnie; — podchwycił Zamojski — ani mogę, ani chcę odmawiać, ale się lękam, że nic nie uczynię.

— Chcielicie, a uczynicie!

Zamilczał kanclerz. Po krótkiej rozmowie i po otrzymanem uroczystem przyrzeczeniu kasztelan odjechał.

Można sobie wyobrazić, co się działo na Franciszkańskiej ulicy przy tym temperamencie, który całą rodzinę znamionował, gorączce i niecierpliwości ich, a dumie podrażnionej. Każdego dnia, każdej godziny niemal oczekiwano posłańca od kanclerza, powołującego na audjencję. Tymczasem upłynął tydzień, a nie nadeszła wiadomość żadna.

Stało się to, co Zamojski przewidywał... Gdy zagaił o tem, iż podczaszy doprasza się rozmowy, król zżymnął się i syknął.

— Daj mi z nim pokój — zawołał. — Kłamstwem mnie nie weźmie, niech sobie nie pochlebia, nie mam go za tak niebezpiecznego, abym go miał drogo kupować. — Jest „radą cesarza", niech się tem kontentuje. Jam przeciwko Rakuszaninowi mały królik, więc co ja dla niego znaczę? Nie chcę go widzieć!

— Podrażnicie go więcej.

— Niech się wścieka, — rzekł król — porwie się — a uczyni co, na czembym go mógł pochwycić, nie przebaczę. Nie chcę go, nie mów mi o nim.

Ponieważ król tego dnia był w złym humorze, bo mu ulubiony koń jego ubył, kanclerz nie nalegał, odkładając do sposobniejszej chwili, ale gdy w parę dni znowu chciał spróbować przemówić za Krzysztofem, Batory się pogniewał i oburzył.

— Ten człowiek nikczemnym jest, — zawołał — wie, że go nie znoszę, że go znam, że nim pogardzam i ciśnie się do mnie. Stanowczo i ostatecznie powiadam: zdrajcy tego na oczy widzieć nie chcę i nie będę! Niech wie, powiedzcie mu to otwarcie, ja się z mojemi uczuciami nie tajęc. Podły jest, gardzę nim.

Po danej w ten sposób odprawie kanclerz, który króla znał, wiedział dobrze, że powracać z prośbą nie ma poco. Batory nie zapominał nigdy, a raz powziętego o ludziach zdania nie zmieniał. Ofiary, jakie czuł, że uczynił dla Polski, czyniły dla niego niewdzięczność nieprzebaczoną.

Zamojski, nie mając już o czem oznajmić kasztelanowi, nie śpieszył ze złą wiadomością, owszem — zwlekał ją.

Naostatek, kipiący już niepokojem podczaszy wytrzymać nie mógł i brata uprosił, aby się widział z kanclerzem, a przyniósł mu odpowiedź, jakąkolwiekby ona była, nic nie tając.

— Mój kochany Krzychniku, — rzekł powracający wieczorem Jan — żal mi cię! Zamojski czynił, co tylko mógł i na tem się skończyło, iż króla pogniewał. Widzieć cię nie chce i przypuścić nie może. Powiada wprost, iż zna w tobie nieprzyjaciela i zdrajcę, za takiego cię ma, radzi ci się mieć na baczności, a mówić z tobą, ani cię słuchać — nie chce.

Pobladł podczaszy, gdy mu brat przyniósł tę odprawę, chwilę stał niemy, ale nie było już co rozmyślać. Pozostawało jedno: do cesarza jechać, kraj opuścić i tam pozostać, lub do Moskwy się wynosić.

Ani jednego, ani drugiego nie życzył sobie Krzysztof, na domowych śmieciskach czuł się jeszcze najbezpieczniejszym, pomimo gróźb króla. Tu mu też najłatwiej było być czynnym, a spodziewał się, że z pomocą Samuela i Andrzeja, na którego też rachował, coś dokaże.

Nie miał wyboru środków, pozostawało mu starać się pozbyć Batorego, zasiąść na życie Zamojskiego i przynajmniej ostatniego sprzątnąć.

Samo przeznaczenie rzuciło go na tę niebezpieczną drogę spisków i zasadzek, na której nigdy żaden Polak nie bywał, bo ani charakter, ani temperament sposobnymi ich do tego nie czyniły. Tajemnicy utrzymać żaden z nich nie mógł, wszyscy się niewiastom zwierzali, a nim do czego przyszło, mówiono tyle, iż gniew i siła ze słowy uchodziła.

Podczaszy był może od innych przebieglejszym, łatwiej zmilczał, chętniej skłamał, ale i w nim czasami kipiała krew i on siebie nie był pewien.

Gdy się potem rozeszli panowie bracia, wielce rozżalony Krzychnik długo po izbie chodził, jedząc się myślami.

— Bóg mi świadek — mówił w duchu — możebym do tego nie doszedł, gdyby król sam mnie nie popchnął. *Alea jacta est!* musimy się bronić, a jego pozbyć, jak szkodliwej bestji... ich obu! Samuel nienawidzi ich, jako ja, będzie ze mną; Andrzej, jeśli nie ręką, to głową dopomoże, znajdą się i inni sprzymierzeńcy...

Gdy nazajutrz, po tej nocy męczeńskiej, podczaszy wystąpił, już po nim poznać nie było można, co przecierpiał, ani co w sobie krył. Wesoły przybrał humor i tyle tylko, że ze wszystkiego, co się króla i hetmana tyczyło, nielitościwie szydził.

Kasztelan gnieźnieński dał się na to wziąć i pochwalał zimną krew i rezygnację.

Sądząc, że jeszcze Samka zastanie w Piekarach, pobiegł tam nazajutrz zaraz Krzysztof, ale go już nie było. Zastał tylko smutną po nim Włodkową, która teraz ciągle o bohaterskich czynach wuja na Niżu wszystkim rozpowiadała.

Tymczasem Samuel gdzieś już za nową podwiką gonił i razem szalał, nad dziećmi się rozpadał, pieśni słuchając, płakał, pił, bił, a podczas o pokucie mówił i mnichem chciał zostać. Jednego dnia się rozpusta go trzymała, drugiego rozpacz nim owładała. Od grobu żony jechał na polowanie z sokoły, na hulankę do miasta, a potem do córeczki Anusi i do Wojtaszka, którego

męczył, któremu śmiercią groził, aby nazajutrz obsypywać podarkami.

Dostawszy języka, gdzie mniej więcej Samuela przyłapać się mógł spodziewać, podczaszy wrócił z Piekar do Krakowa. Zbliżało się owo sławne hetmańskie wesele z Batorówną, o której powiadano, że ją wkrótce miał przyjmować Opaliński na granicy z paniami polskiemi.

Pan Krzysztof chciał czasu godów być w mieście, patrzeć na nie, i gdyby się dało, korzystać z ogromnego zbiegowiska, aby sobie wyszukać sprzymierzeńców. Wśród tego zamętu przygotowań weselnych łatwiej było, niż kiedy, niepostrzeżonemu się przecisnąć, wśliznąć, podsłuchać i ludzi wynaleźć.

Pozostawał też kasztelan i marszałek. Oba oni nie należeli do czynnych i mających tu występować panów, ale życzyli sobie być widzami: — Jan, aby dowiódł kanclerzowi poszanowania, Andrzej, aby może coś skorzystać, a w razie niepowodzenia jakiego i zawodu, — cieszyć się niemi.

Krzysztofa plan był bardzo prosty i taki, jakeśmy wyżej skreślili. Nie wahał się nawet przez pewnego posłańca czarno na białem wyłuszczyć go Samuelowi.

Mimo całej przebiegłości swej, gorączką powodowany, w liście do Samuela wynurzywszy żale swe i skargi, oznajmił, iż starać się im należało: króla zgładzić trucizną, a kanclerza w zasadzce gdzieś ubić.

Trudno uwierzyć, iż mógł tak nieopatrznie rzeczy te na papier zdać, z człowiekiem niepewnym w świat posyłać i zdrady się nie obawiając, sam na siebie kuć miecz. Tak jednak było. Gniew mu odejmował rozum, zapominał się i szalał Samuelowym sposobem. Wiedział dobrze o tem, iż Samko przyjmie ochotnie wezwanie i rad będzie spółce do tej roboty.

W kilka dni potem Krzysztof znów wieczorem odwiedził Fontanusa.

Zjazd wielki do miasta obiecywał i aptekarzowi odbyt znaczny, zaopatrzył się też obficie w elektuaria, driakwie, confekcje, wyciągi i różne tajemnicze eliksi-

ry. Apteka nawet wyglądała odświeżona, pomalowana na nowo, naczyniami ozdobnemi zastawiona, tak, że ku sobie nęciła.

Fontanus przywitał go, do kolan się mu kłaniając. Krzysztof, jeżeli nie miał dobrego humoru, to go w potrzebie doskonale sobie przybierał.

— A co, stary truciciclu rodzaju ludzkiego, — powitał go — ileżeś wenenów i toksików sprzedał pod ten czas? Sądzę, że ich teraz najwięcej ludzie potrzebować będą?

— Dotąd nie mam odbytu na ten drogi towar, — odparł Fontanus — ludzie radziby czasem zadać, ale cudzemi rękami, a takich rąk usłużnych napytać niełatwo.

— Wiesz co? — rzekł podczaszy. — Ja sądzę, że o te ręce łatwiej, niż o samą truciznę. Mów mi prawdę, dostać jej u was?... Co, gdybym ja potrzebował?

Zmieszał się Fontanus i niedowierzająco mu w oczy zajrzał.

— Próbujecie mnie? — rzekł.

— Nie — odpowiedział Krzysztof. — Są w życiu ludzkiem takie wypadki, gdy lepsza trucizna i śmierć, niż srom. Rozumiesz mnie?

— Trafia się to, — powoli wycedził Niemiec — lecz zawsze to drażliwa i straszna rzecz. Wy tego nie potrzebujecie, dlaczego mnie badacie?

— Dlatego, że mogę istotnie potrzebować, — zawołał podczaszy — ale ja ci się nie dam zwieść i jeżeli dobrem złotem zapłacę, dobrą też chcę mieć truciznę, której bodaj na psie spróbuję, niżeli wezmę.

Spojrzeli sobie w oczy. Fontanusowi w ustach zaschło ze strachu. Mówić nie mógł, mrugnął tylko i palec położył na ustach. Milczeli oba chwilę. Podczaszy dobył sakwę z pod poły, wysunął z niej dwa ogromne świecące portugały i położył je przed Fontanusem.

— To zadatek, — rzekł cicho — ażebyś pewnym był, że ja nie żartuję, ani cię w pole wywodzić nie myślę. Widzisz, że pomocy twej potrzebować będę,

a milczenia jestem pewny, bo... dla siebie samego zdobywać je musisz...

— Powinna być taka, — dodał — aby piorunem zabiła, a śladu nie zostawiła po sobie. Rozumiesz?

Wstał z krzesła; Fontanus patrzył zadumany na portugały i nie ruszył ich, choć się już za podczaszym drzwi zamknęły.

III.

Samuel pod ten czas, czując się banitą, albo ciągle po krajú krążył, rzadko dwie z rzędu noce w jednem miejscu spędzając, albo około Zborowa, kędy miał czaty porozstawiane i ludzi sobie oddanych, w lesie, w umyślnie zbudowanem tam domostwie przesiadywał.

Był to jego kąt ulubiony, a ludzie zwali go Białym Kamieniem, może dlatego, iż dwór stał na podmurowaniu, które jasno od ściemniałego odbijało drzewa.

Fantazja Samuelowa dogodziła sobie, gdy tę kryjówkę wśród lasów wznosił, o której, oprócz jego ludzi, mało kto nawet wiedział. Na małym wzgórku, nad rzeczułką, biegnącą parowem, wznosiło się to domostwo, całe obszerne, bo izb różnych z alkierzami i komorami liczyło przeszło dziesiątek. Dokoła, na wypadek napaści, aby się nie tak łatwo do dworu dostać było, opasywał go częstokół dębowy, wysoki, mocny i ziemią z jednej strony umocowany.

Oprócz tego opowiadano, iż z pośrodka domu, pod którym były lochy murowane, tajemne drzwi prowadziły wąskim korytarzem w głąb ziemi, tak, iż pod rzeczułką przeszedłszy, dozwalały, jak w starych zamkach, wydobyć się niepostrzeżonemu.

W Białym Kamieniu, gdy pana Samuela nie było, a trwało to niekiedy czas dłuższy, bo niespokojnemu Zborowskiemu temperament i nawyknienie długo w jednem miejscu trwać nie dopuszczały, była zawsze jakaś załoga miejscowa, aby w razie niespodzianego przybycia wszystko na swe przyjęcie znalazł w pogotowiu.

I nagle ta pustka, w której ziewało kilku starych

niedołęgów, zmieniała się we wrzawliwie przepełniony dworzec, w którym ludzi i konie zaledwie można było pomieścić.

Samko nawykł był nietylko na Niż, ale po Rusi i gdziekolwiek się obrócił—jeździć tłumnie—hajduków i czeladzi wiodąc z sobą zwykle głów trzydzieści i więcej. Oprócz tego towarzyszyli mu przyboczni jego przyjaciele i słudzy rezydenci, urzędnicy. Ciągnął czasem z sobą gości, prowadził psy, wiedziono sokoły, z któremi po drodze polował, szły wozy ze śpiżarnią, a niektóre z bronią i z namiotami.

Nie pytano po drodze, czyje były łąki i pola, a nawet i stogi, gdy zapotrzebował czego pan Samuel, brał, jak ze swego. Trafiało się, że tak samo, nie pytając, zajmował dwory i plebanje. Znano go nadto, aby mu się kto próbował opierać. Kobiety naówczas najczęściej uciekały, a i nie każdy z mężczyzn dotrzymał placu, bo Samuel i jego ludzie słynęli jako gwałtownicy.

Zadrzeć się z nim nie było bezpiecznie, bo niczem dlań bywało zabić, powiesić, a na odjezdnem ogień podłożyć. Gdy był dobrej myśli, a trafił na ubogiego szlachcica, sam go w domu własnym przyjmował... z opierającymi się nie czynił wielkiego zachodu.

Majętności rodziny Zborowskich i spokrewnionych z nimi Spytków, Stadnickich, Opalińskich nietylko w tych pochodach nie oszczędzał, ale je przenosił nad obce, bo w nich choć cień prawa jakiegoś miał za sobą.

Dwór jego zmieniał się często, a do niego poniewoli czasem przyłączać się musieli ludzie, którzy go zabawiali, lub których trwoga i utrapienie bawiły go.

Ciągnął tak z sobą niekiedy księży, szlachtę, z miast pozabieraną muzykę, grajków, różnego rodzaju trefnisiów, a tak, jak zabierał gwałtem, kto mu się podobał, rzucał potem, gdy mu się sprzykrzył, wpośród gościńca.

W Białym Kamieniu zwało się, że spoczywał, ale czas trawił tu na łowach, na słuchaniu Wojtaszka i na zabawianiu się z dziećmi, których dwoje (miał troje tylko), syna Aleksandra i córkę Anusię, szczególniej lubił.

Anusia w dzieciństwie zdawała się przypominać nieszczęśliwą matkę, Spytkównę, ale rosnąc przy boku ojca, zmieniła się i stała nadzwyczaj podobną do ojca. Miała wykapaną naturę jego i temperament, a nawet wypięknione rysy na pierwszy rzut oka dawały w niej poznać córkę Samuelową.

Po śmierci matki zdana na sługi, bo krewnym jej powierzyć nie chciał, Anusia wyrosła pieszczona, dzika, samowolna, a im więcej dokazywała, tem ojciec bardziej się do niej przywiązywał i cieszył. Nabrała więc zawczasu obyczaju nawpół męskiego, jeździła konno, strzelała z łuku, który dla niej umyślnie robić kazano, nosiła sama i unaszała ptaki łowieckie, otaczała się psami, chadzała nawet po męsku, co ojca wielce zabawiało. Ale przychodziły na nią potem chwile niewieścich zachcianek, naówczas kazała sobie trefić włosy, wdziewała suknie kosztowne, stroiła się, zasiadała do krosien, uczyła pieśni, i nim dorosła — już grała rolę pani.

Tak gwałtownego temperamentu, jak ojciec, nie umiała się w niczem poskromić, a pan Samuel znajdował to w niej uwielbienia godnem. Zresztą, cokolwiek zrobiła Anusia, dobrem było. Nieraz powiadał, iż żałuje bardzo, że się ona chłopcem nie urodziła, bo Aleksander, którego kochał także, syn starszy, wielce się różnił od ojca i siostry.

Młodzian był stateczny, poważny, rycerskiego, ale szlachetnego ducha i niedający się skusić przykładem do samowoli. Zwał go ojciec babą, chociaż miał dowody mnogie, że Aleksandrowi wcale na męstwie i energji nie zbywało.

Anusia nie zawsze mogła towarzyszyć ojcu w jego wycieczkach, ale w Białym Kamieniu zawsze z nim bywała i tu go nie opuszczała.

Brał z sobą zwykle i Wojtaszka, a znajdował tu ulubienicę, prostą dziewczkę, ze wsi wziętą, która naprzód była w usługach Anusi a wiekiem z nią — rówieśnicą.

Nie dbając o to, że córka patrzeć na to będzie, wziął

ją potem pan Samuel, oddzielił, posadził osobno, zaczął się nią opiekować, obdarzać, zawrócił jej głowę i zrobił z niej dziwadło, które go tem więcej bawiło i tem mu było ulubieńsze, im mniej do pospolitych ludzi było podobne. Zamarzyło się tej Motrunce, wybranej przez Samuela, że pan się z nią ożenić będzie musiał, nabrała więc dumy i obchodziła się z ludźmi, jak pani. Anusia śmiała się z niej z początku, lecz potem znienawidziła.

Motrunka była prostą i wcale nie odznaczającą się żadnemi osobliwemi darami dziewczyną. Po całych dniach siadywała przed zwierciadełkiem, ubierała się i rozbierała, a że miała do posług dziewcząt kilka, z niemi odgrywała rolę pani. Piękną była w istocie, a ta piękność jej, nie rozjaśniona nawet iskierką rozumu, uderzała swą regularnością i wdziękiem. Motruna, usiłując się uczynić piękniejszą jeszcze, psuła raczej, niż podnosiła wdzięk, jakim ją obdarzyła natura.

Samuel, choć z początku się do niej namiętnie przywiązał, później już kosztem jej się zabawiał, i niekiedy niemiłosiernie nad nią znęcał. Bawiły go nawet łzy, gdy bywał znudzony.

W jednym dworze, pod tym samym dachem, tygodniami i miesiącami siedząc, Motrunka i Anusia prowadziły z sobą wojnę. Córce naturalnie ojciec dawał pierwszeństwo, lecz niekiedy i Motruna miała swe dnie szczęśliwe...

Do dworu pana Samuela, oprócz tych dwu kobiet i licznego fraucymeru, należała niejaka Żabikowska, średnich lat kobieta, niegdyś zamłodu ulubienica pana, teraz sługa córki i zarządzająca domem, baba ogromnego wzrostu, teraz już z małym wąsikiem na wardze, niegdyś piękna, śmiała, wyszczekana, chciwa i przewrotna. Obowiązkiem jej było służyć Anusi, której ona cierpieć nie mogła.

Wojna więc niewieścia była tu nieustającą, w której Anna zawsze dotąd górę brała.

Piękność jej z dojrzewaniem coraz się stawała świetniejszą, ale razem i charakter samowolniejszym codzień się objawiał.

Gdy pan Samuel na Niż się wybierał, Anusia na to pozwolić nie chciała, potem upierała się jechać z nim, przebrana po męsku, tak, że okłamawszy ją, uciekać od niej musiał, czego mu długo darować nie mogła.

Z wybitniejszych osób, otaczających Samuela, wymienić jeszcze należy Boksickiego, który, gdyby na politowanie zasługiwał, męczennikiem-by go nazywać było można. Lecz najprzewrotniejszy z ludzi, korzystający z pana, wyłudzający z niego pochlebstwy i najpodlejszemi posługami, co tylko zedrzeć mógł, Boksicki był poprostu łotrem o twardej skórze.

Trafiało się, że go Samuel zbił na gorzkie jabłko, ale nie mogąc obejść się bez niego, potem musiał sam smarować i plastry mu złote przykładać. Miał zato w Boksickim posługacza, oprawcę, narzędzie — do czego tylko chciał go użyć. Człek był zręczny, pilny, wytrzymały, a bez sumienia. Aby takiemu, jak Samko, służyć, potrzeba było w istocie żelaznego człowieka.

Miał to do siebie Zborowski, że swych ludzi znał nawylot, i dobrze wiedział, jak dalece podłym był Boksicki, ale go takim mieć chciał, bo mu to było dogodne.

Naostatek w gromadzie, która teraz ciągnęła z nim, miał jeszcze Samko i księdza, a raczej braciszka w sukni zakonnej św. Franciszka, Włocha Zapatellego. Tego szczególniej upodobał sobie, dlatego, że się jąkał i szeplenił, a mówił po włosku. Zborowski zaś do języka tego miał słabość i czasami się odgrażał, że zupełnie Polskę porzuci, a do Włoch się wyniesie.

Zapatelli grał tu niewłaściwą swej sukni rolę trefnisia, wyśmiewano się z niego i znęcano nad nim. Zabrany gdzieś gwałtem po drodze, pojony, karmiony Włoch nie mógł się wyrwać i oswobodzić. Znosił los swój od roku blisko z rezygnacją, bo dwa razy nadaremnie próbował się wyślizgnąć, a za każdym razem pochwycony, wyszturgany, musiał za karę siedzieć w czabance o chlebie i wodzie.

Taki był skład dworu pana Samuela, gdy temi czasy, na wiosnę do Białego Kamienia, dla spoczynku zawitał.

Syn Aleksander wymówił mu się i we Lwowie pozostał, co ojcu było na rękę, bo czasem poważniejszego Oleczka albo się musiał wstydzić, lub z nim kłócić.

Panowała więc Anusia w jednym, a Motrunka w drugim końcu dwora, — Wojtaszek na obu.

Tego się tu obawiali wszyscy, nie wyjmując nawet Anusi, do której z zuchwalstwem niesłychanem śmiał się zalecać, chociaż łajała go, pluła mu w oczy i patrzeć na niego nie chciała. Wojtaszek śmiał się.

— E! e! przyjdzie czas, że i Wojtaszek dla panny dobry będzie!

Tak samo zalecał się pańskiej kochance, Motrunce, ale tu miał więcej szczęścia, bo ta się w nim potajemnie kochała, choć sobie z niej drwił niemiłosiernie.

Szydził on zarówno z Samuela, czasem w żywe oczy, choć to groźnem stać się mogło i nieraz pokaleczony i skrwawiony z rąk mu się wyrywał, ale wkrótce potem Samuel litował się nad nim, sam go opatrywał i wszystko puszczał w zapomnienie. Miał nad nim jakąś niezrozumiałą dla nikogo przewagę!

Nikogo tu nie szanował, nikogo nie szczędził, nikomu się niepoczciwiec nie kłaniał, a poczynał sobie z zuchwalstwem, na któreby się żadne z dzieci nie ważyło. Nie obawiał się ani oskarżenia, ani gniewu pana, bo go publicznie prawie zbójem nazywał. Nikt nad Wojtaszka lepiej nie znał wszystkich przestępstw, gwałtów, morderstw i szeleństw Zborowskiego i nikt o nich ochotniej głośno nie rozpowiadał.

Po dworze chodził, jakby tu sam panem był, z samowolą nieukróconą niczem, bo i do papierów, i do pieniędzy Samuela sięgał bezkarnie i nic mu się nigdy nie stało. Zwali go też ludzie czarnoksiężnikiem, i wierzyli w to, że jakiegoś inkluza miał, który życia jego strzegł, bo powinien je stokroć stracić, codzień się narażając Samuelowi.

W Białym Kamieniu rozpoczęło się życie zwykłe tym trybem, który się nie dawał określić, bo codzień się odmieniał. Jednego dnia łowy, drugiego śpiewy, to biesiadowanie, to pisanie listów, to zamykanie się

z Motrunką, to słuchanie córki i służba u niej zajmowały pana Samuela...

Były też godziny Zapatellego, dopóki jąkajło i włoszczyzna się nie sprzykrzyły. Czasem opanowywał go Boksicki, niekiedy po całych dniach strzelał i wróblom urywał głowy kulami lub strzałami, to znowu spędzano ludzi i urządzano wielkie łowy z sieciami, które się tem kończyły, że napędzonego zwierza nożami i oszczepami dobijano.

Wszystko to nie starczyło niespokojnemu temu umysłowi, który czasem szukał roztargnienia w żalach po żonie i osamotnieniu żałobnem.

W takiem właśnie usposobieniu drugi już dzień leżał Samko na skórach, które jego łoże stanowiły, zamknięty, pod strażą Boksickiego, któremu nikogo, nawet córki do siebie nie kazał dopuszczać, gdy wystrojony jak gach, z utrefionemi włosami przysunął się wolnym krokiem do progu Wojtaszek.

— Słuchaj ty, — zwrócił się do leżącego tuż na ziemi we drzwiach Boksickiego — puszczaj mnie do niego!

— Nie wolno!

— Co to nie wolno! mnie? — odparł lutnista. — Gdzieżeś ty słyszał, aby mnie było nie wolno wnijść, kędy zechcę?

— Pan zakazał nawet panny nie puszczać — rzekł, mrucząc, stróż.

— Ale nie mnie.

— Niema wyjątku — idź sobie!

Wojtaszek leżącego kopnął nogą.

— Słuchajże ty, bałwanie jakiś, otwieraj mi drzwi, bo ja ci każę!

— Ja od was rozkazów nie mam do odbierania — odparł Boksicki. — Idź precz!

Z pogardą spojrzał na niego lutnista i gniewnie nogami go począł tłuc.

— Otwieraj!

Powstała wrzawa. Wtem ze wnętrza izby, w której leżał pan Samuel, głos się dał słyszeć.

— Kto tu śmie? Boksicki, precz z tym!

— To ja! — wrzasnął Wojtaszek.

— Precz! — zawołał głos groźny Samuela.

— Precz? — podchwycił Wojtaszek. — A ze mną i listy Krzychnika pójdą precz!

Roześmiał się na całe gardło, bo już z wnętrza głos potężny wołał:

— Otwierać!

Boksicki się zerwał, opończę narzucając na siebie i kosemi oczyma mierząc Wojtaszka.

W izbie, w której leżał już drugi dzień Samuel, było prawie zupełnie ciemno, pomimo wiosennego dnia jasnego. Okiennice stały pozamykane. Na podłodze nasłane siano, pokryte niedźwiedziemi skórami, służyło za łoże. Na niem w koszuli jednej, z obnażoną piersią, włosem okrytą, z rękami pod głowę podłożonemi — spoczywał Samuel.

Powolnym krokiem, listy pootwierane trzymając w ręku, zbliżył się ku niemu Wojtaszek.

Bystre oko leżącego dostrzegło, że pieczęcie naruszone były.

— Jakeś ty śmiał listy moje czytać? — zawołał, zrywając się, Samko.

— A dlaczegobym nie miał ich otworzyć, kiedy prędzej czy później przecieżby się przede mną nie ukryły!

Wojtaszek odpowiadał wcale niezatrwożony, a wzrok, jakim pana mierzył, takie wyrażał lekceważenie, jakby on tu był panem, nie sługą. Samuel zgrzytnął zębami, ale nie odpowiedział nic. Podniósł się powoli, rozkazując, aby mu okiennice otworzono. Wojtaszek, który najmniejszej posługi sam nigdy nie spełnił, obrócił się ku progowi i zawołał Boksickiego.

— Otwórz okiennice!

Tymczasem w Zborowskim już niecierpliwość górę wzięła, i nie czekając, aż sam listy przeczyta, zawołał:

— Co on tam pisze?

— Ho! ho! — odparł, jak zawsze, szydersko Wojtaszek. — Pisze takie rzeczy, których żaden rozumny człowiek papierowi nie zwierza.

— Kto? — zapytał Samko.

— Kto? A to domyśleć się łatwo — rzekł lutnista. — Marszałek nadto ma rozumu i przebiegłości, aby to, co chce zrobić, naprzód oznajmywał i pomógł tym, co mu zechcą przeszkodzić; kasztelan do was nie pisuje, jest jeden Krzychnik, co się nie boi, bo ma cesarza za sobą, a o wasze zdrowie pono niewiele stoi.

Otworzyły się w tej chwili okiennice, Samuel wyrwał listy z ręki lutnisty i namarszczony, siedząc na łożu, czytać je zaczął.

Wojtaszek stał, oczyma badając twarz swego pana, na której, jak w wodzie obłoki, wszystkie wrażenia się dobitnie malowały. Czytał je, jak z karty, a nie odchodził, bo ciekawym był końca.

Samuel czytał i odczytywał. Ściągał brwi, zakąsywał wargi, gniew po nim przechodził, jak prąd gorący, ale wnet się to zmieniło, list raczej ucieszył Samuela, niż zmartwił, choć donosił o najgorszem usposobieniu króla i o środkach, jakie nieodzownie przedsiębrać było potrzeba.

Właśnie ta ostateczność i nadzieja, że będzie czynnym, że zostanie zmuszony porwać się do zuchwałego i krwawego czynu, radowała tak Zborowskiego. Nudził się już tą swoją, jak ją nazywał, bezczynnością. Ani Motrunka, ani Anusia, ani Boksicki i Wojtaszek, ani mnich Włoch, ani łowy i konie nasycić go nie mogły!

Raz zakosztowawszy krwi i doznawszy tego wrażenia, jakie ona wywiera na tym, kto się nią zmazał, był pan Samuel niemal chciwym nowego jej przelewu. Krzychnik w tym liście, którego już powiernikiem był Wojtaszek, bez ogródki mówił o truciźnie na wilcze zęby i o napaści na „szaraka“ na głowę *Nigri Concilii.*

Przygotowania do napadu tego, samo dokonanie go, nikomu innemu przypaść nie mogło, tylko Samuelowi. Czuł się do tego powołanym i to mu się uśmiechało.

Z Wapowskim siedem czy osiem żywotów ludzkich miał już na sobie. Cóż mu znaczyło podjąć jeszcze jedno wielkie dzieło, które go chwałą okryć miało,

a wedle jego pojęcia, — naród wyzwolić! Radowała się jego dusza!

W tej chwili ów ciężki, dojmujący smutek, który go do łoża przygniatał, wszystkie powszednie zabawki — znikły z przed oczów; miał przed sobą postać znienawidzonego kanclerza, z którym się pragnął rozprawić. Nie powątpiewał ani na chwilę, że z walki, choćby nierównej, wyjdzie zwycięzcą.

Równemi nogami porwał się z łoża, aż Wojtaszek, stojący zbyt blisko, cofnąć się nieco przed nim musiał. Usta jego mimowolnie pocichu wyszeptały jeden wyraz:

— Zbójca!

Panu Samuelowi śmiała się przed chwilą namarszczona twarz. Spojrzał w okno.

— Cóż to? — zawołał — blisko południe! Słyszysz, idź powiedz, aby mi Michał natychmiast dawał obiad. Jestem głodny!

— Boksicki, — powtórzył, nie ruszając się z miejsca, Wojtaszek — idź do kuchni. Jam nie do tego.

Ten, który mozolnie ciasną właśnie opończę wciągał na ręce, zamruczał coś, jakby na Wojtaszka, chcąc zdać poselstwo, ale lutnista powtórzył dumnie:

— Słyszałeś rozkaz pański, nogi za pas. Leżałeś dosyć!

Mrucząc, musiał być posłuszny Boksicki, a Wojtaszek, w bok się wziąwszy, po izbie przechadzać się zaczął; nie chciał odejść, aby Samuela z oczów nie stracić.

Zborowski oblewał się wodą i odziewał pośpiesznie, ale w rozmowę, której lutnista życzył sobie może, nie wdał się z nim. Słów zresztą nie było potrzeba, aby czytać, co myślał. Radość, nadzieja jakaś błyskały mu z oczów.

W chwilę potem róg myśliwski, wedle miejscowego zwyczaju, dawał znać, że Michał pośpieszył z obiadem i pan Samuel, przyodziany lekko, szedł już do izby jadalnej, w której się wszyscy gromadzili. Jedna Motrunka nie miała się tu prawa pokazywać.

Zborowski nie byłby tak dalece może poszanował córki, aby ulubienicy zakazał przychodzić, ale Anusia oświadczyła, że u jednego stołu z chłopką siedzieć nie będzie, a chłopka nietylko u stołu siedzieć, ale przy nim pierwsze miejsce mieć chciała, — i straciła prawo do niego.

Boksicki, Zapatelli, mały, zażywny, tłusty i brudny braciszek w trepkach i habicie, ladajakim powrozem przepasanym, kilku szlachty, starsi urzędnicy dworu, naostatek Żabikowska, wystrojona śmiesznie, już dokoła wielkiego stołu oczekiwali. Szlachta dobywała zawczasu łyżki z za pasa i ocierała je rękawami, czeladź wnosiła parujące misy, z których wybuchały wyziewy przypraw korzennych. Zapatelli, wedle zwyczaju, zabierał się odmawiać *Benedicite,* choć nikt na nie ani zważał, ani czekał, gdy wpadł pan Samuel.

Anna stała w drugim końcu izby, wystrojona dnia tego, z rozkwitłą twarzyczką dzikiej różyczki, a zobaczywszy ojca, namiętnie się mu rzuciła na szyję.

— A! przecież! — zawołała głośno. — Nie lubię, gdy ty mi się zamykasz na pokutę. I tak niezawsze ciebie mam; każdej mi godziny żal, a ludzie, albo jakieś smutki mi je odbierają. No, dobrej myśli mi wracasz? — spytała.

Twarz sama jej odpowiadała; ojciec był uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Miałem listy od Krzychnika — odparł, podnosząc córkę do ust swoich — rad im jestem!

— Cóż ci tak dobrego przynoszą? — spytała Anusia.

— Krzychnik raz przecie rozumnie pisze — roześmiał się Samuel. — Teraz my z nim pójdziemy ręka w rękę!

Anusia spojrzała mu w twarz, lecz siadano już do stołu i Samuel umyślnie przerwał dalszą z nią rozmowę.

Wszyscy teraz biesiadnicy z oczyma zwróconemi na gospodarza gotowali się go czemś zabawiać. Borowski donosił o sokołach, drugi mówił o wilczycy z ma-

łemi, na którą w gnieździe najść było potrzeba, aby szczenięta zabrać żywcem.

Wojtaszek siedział także u stołu, umieściwszy się tak, aby na Anusię mógł patrzeć. Ojca się wcale nie wystrzegał. Anna unikała jego wejrzenia, a ile razy je spotkała, odwracała się z niewysłowioną pogardą.

Wojtaszek mimo to nie tracił fantazji, owszem — coraz się chciał głośniej z nią popisywać i wtrącał zuchwałe do rozmowy.

Zaczęto wyszydzać Zapatellego, któremu sąsiedzi najlepsze kąski nietylko z półmiska, ale prawie z ust wyrywali. Włoch czerwieniał z gniewu, jąkał się tem więcej jeszcze i bezsilną tą sierdzistością pobudzał wszystkich do śmiechu. Przychodziło niemal do utarczek na łyżki i pięści, co zdawało się tak zwyczajnem, że niczyjej nawet nie zwracało uwagi. Wojtaszek tylko jeden się marszczył, bo mu to do mieszania się w rozmowę przeszkadzało.

Samuel tymczasem, nie mogąc nic nigdy długo w sobie utrzymać, już w głowie osnuwając zamiar zaskoczenia kędyś Zamojskiego, plan cały układał. Ludzi mu dzielnych było potrzeba. Miał kilku, na których mógł rachować — innym mniej ufał.

— Boksicki, — odezwał się — ludzi będę potrzebował! Szukaj mi takich, coby się ani śmierci ponieść, ani ją zadać nie obawiali, prawych rycerzy!

— Idziecie na wojnę? — zapytał Boksicki.

Wojtaszek się rozśmiał.

— Jakiś ty głupi! — rzekł. — Albo to nie wojna, gdy się w lesie napadnie podróżnego?

Zmarszczył się pan Samuel.

— Czyż my dość ludzi nie mamy? — odparł sługa. — Zawczasu robić zaciągi i żywić je! A tacy, co się tęgo biją, okrutnie też jedzą i piją.

Śmiał się Zborowski.

— Postaramy się dla nich o kaszę, daj tylko — zawołał.

— Wielu? — zapytał sługa.

— Wielu — począł, podpierając się na łokciu

Samuel — liczę tych, na których rachować mogę... mamyż ich aby trzydziestu?

— Tylko niech się Boksicki do ich liczby nie wciągnie, — wtrącił Wojtaszek — bo on już się stępił, jak nóż na skórce od chleba.

Nikt lutniście nie odpowiadał, ani zważał na niego, co go do jeszcze śmielszego się odzywania pobudzało.

— Trzydzieści orzechów wziąć, żeby ani jednego świstuna w nich nie było, — podchwycił lutnista — to sztuka!

Samuel krzyknął, pięścią: w stół bijąc.

— Milczeć.

Wojtaszkowi krew trysnęła do głowy, bo Anusia spojrzała na niego i uderzyła w dłonie.

— Patrzcie! — krzyknął lutnista. — Jak mnie śpiewać poprosicie, ja też milczeć będę!

— Och! och! — odciął Boksicki. — Już ja podejmę się z was głosu dobyć...

Ledwie tych słów domówił, gdy Wojtaszek się zerwał i wymierzył mu potężny policzek. Boksicki się pochwycił z ławy do szabli, zrobił się huczek i zamieszanie. Wojtaszek stał wbok się wziąwszy i wyzywał. Zborowski wołał, aby się uciszyli, ale obity skakał do oczów lutniście, a inni, co także go nie lubili, pomagali. Ksiądz Włoch, z którego się Wojtaszek naśmiewał, skrobał mu marchewkę na palcu.

Już, już tylko co nie było widać, jak się do bójki wezmą, w której lutnista sam jeden miał być przeciwko wszystkim. Widząc to i nie czekając, Wojtaszek się nieco cofnął ku drzwiom wewnętrznym.

Wtem te się otworzyły, i słuchająca pod niemi Motrunka wpadła, jak opętana, chwytając za rękę Wojtaszka, chcąc go uprowadzić z sobą. Zborowski rozjątrzony tem nagłos na nią zawołał:

— Precz ty, łajdaczko!

Anusia, nie chcąc być świadkiem sceny, wybiegła drugiemi drzwiami.

Wtem Samuel odezwał się głosem ogromnym:

— Boksicki, nic mu nie czynić, ja się pomszczę!

Wziąć go i za drzwi precz wyrzucić, choćby i z tą dziewką razem. Dobrana para!

Lutnista, który pokumaniem go z chłopką srodze się czuł obrażony, cofnął się od niej, a Motrunka z krzykiem, oczy zasłaniając, uciekła.

Boksicki zaś, skinąwszy na swoich, przemagającą siłą naparł na Wojtaszka, który, nie czekając, aż go wyrzucą, wyrwał się i uciekł sam precz.

Zborowskiego ten wypadek, choć nie był w domu żadną rzadkością, bo się rzadko obiad u niego kończył inaczej, jak bójką i hałasem, rozgniewał; siadł zły, sam nie wiedząc do kogo się za to czepiać.

Chwilę pomyślawszy, kazał biec zobaczyć, co się z lutnistą stało, a gdyby go znaleziono, zamknąć w izbie gościnnej i straż postawić.

Wybiegli natychmiast dworzanie i kilku czeladzi, a tymczasem Zapatelli, gryząc orzechy, śmiał się z Wojtaszka, przedrwiwał, bo już był sobie trochę podchmielił.

Anusia nie powróciła.

Zborowski ze swoim Boksickim najspokojniej w świecie na nowo rozpoczął o ludziach mu potrzebnych się naradzać, gdy dworzanie, jeden z tych, co za Wojtaszkiem wyszli, powrócił z oznajmieniem, iż lutnista prosto ze dworu wpadłszy do stajni, konia okulbaczył i jak stał, dosiadłszy go, uszedł.

Zborowski nakazał pogoń, aby go bodaj związanego nazad przywieziono, ale ludzie sami się gonić domyślili.

Zaczynał być niespokojnym. Obejrzał się za listami Krzychnika, czy ich z sobą Wojtaszek nie zabrał, ale okazało się, że ich nie tknął.

Nie po raz to pierwszy uchodził lutnista, zawsze jednak powracał. Rachował na to pan Samuel, że go tutejsze miłostki nazad sprowadzą i szepnął, aby pilnowano Motorunki, która w swojej izbie leżąc na ziemi, z płaczu się zachodziła.

Samuel szedł do córki, którą zastał poruszoną i gniewnie się przechadzającą po swojem mieszkaniu.

Zobaczywszy ojca, Anusia brwi namarszczyła i obróciła się ku niemu.

— Uszedł! — rzekł Samuel.

— A tyś go gonić kazał — odparła. — Jabym go stąd wysmagać i wyświecić kazała... Tyś słaby dla tego łotra jednego, który nad tobą więcej mocy ma, niż ty nad nim! Siedziałby on u mnie w zawarciu o chlebie i wodzie, ażby się ukorzył, a tu mu rogi urosły, że ani ciebie, ani mnie, i nikogo nie szanuje...

Zborowski stał milczący.

— Potrzebny mi jest — rzekł krótko. — Ty tego rozumieć nie możesz... a więc milcz i nie jątrz mnie. Nadto rzeczy wie, a nas nienawidzi...

Anusia biegała po izbie.

— Innym, straszniejszym dawałeś rady, jego tylko oszczędzasz — krzyknęła. — Uzuchwalił się tak, że do mnie śmie się przybliżać. Rozumiesz ty to! On, ten podrzutek z kupy śmiecia — do mnie, do twojej córki, do córki Spytkównej Jordanównej...

— Czekaj, mała — odparł chmurno Samuel. — I na niego przyjdzie pora stanąć do porachunku... ja mu wszystko zaliczę...

— Ale on ci ujść może! — krzyknęła Anusia. — Ja nie będę spokojną, aż go w dybach ujrzę.

Potem z pogardą, kilka kroków ustąpiwszy, rzuciła ojcu:

— I to nic, że on cię jawnie zdradza, tę twoją ulubioną rozmiłowawszy...

— Anusiu, — przerwał Samuel — tyś o niej wiedzieć i znać nie powinna.

Roześmiało się dziewczę.

— Sameś się starał, abym na to patrzyła, wziąłeś ją ode mnie, posadziłeś przy mnie, pozwoliłeś temu brudowi mieszkać ze mną pod jednym dachem.

Zborowski, słuchając, gdy to wywoływała, z zapałem zbliżył się i pocałował ją w czoło.

— Anuśka! — zawołał. — Wiedziałem, że takiego złota, jak ty, żaden się brud nie ima. Dość tego, nie

czyń mi wyrzutów... Oprócz ciebie, nikt mi nie jest drogi. Nie dbam o nich.

Córka popatrzyła nań.

— Tyś zmienny, jak chorągiewka — rzekła, i wnet dorzuciła: — Uciekł. A! gdyby kark skręcił...

— Nie byłoby komu śpiewać pieśni wieczornych, — westchnął Samuel — on dla głosu tego i kunsztu żyć wart, ale to chwast, co pachnie, a truciznę ma w sobie...

Otworzył drzwi niespokojnie i zawoławszy Boksickiego, zapytał, czy Wojtaszka nie dognano.

— Gdzie go tam dopędzić! — odparł sługa. — Wziął najlepszego konia ze stajni i pół godziny ma przed sobą, gdyby nie uszedł, nie wartby nigdy na konia siąść.

— Więc śledzić mi, — ślij, dokąd się uda, — zawołał Samuel — bo nam piwa srogiego nawarzy.

— Dawno to temu piwowarowi łeb trzeba było uciąć, — odparł Boksicki — a trafiało się do tego zręczności dosyć, ale zawsze go pieśń salwowała. Bodajby zaniemiał!

Anna słuchała milcząca i coraz się stawała smutniejszą, a pan Samuel, choć usiłował zapomnieć o tem, że mu Wojtaszek uszedł, uspokoić się nie mógł.

— Dydkabym za to nie dał, — mówił w duchu — że pójdzie do kanclerza i wszystko mu wyśpiewa.

IV.

Nadeszły nareszcie owe dni godów weselnych, któremi cała Polska zabrzmiała, bo zdawna już, od wjazdu Henrykowego, podobnych okazałości, takiego zjazdu do Krakowa cudzoziemskich panów, ciekawych, możnych, duchowieństwa i szlachty nie było.

Miasto, zamek i przedmieścia przepełnione były.

W końcu maja przyjął Gryzeldę Batorównę na granicy polskiej wysłany naprzeciwko niej Andrzej Opaliński, właśnie tak, jakby przyszłą w niej witano królowę, a prowadzono ją też do Krakowa w takim orszaku,

oddając jej wszędzie cześć, jakby koronowaną być miała.

Wielu naówczas wydawał się Zamojski jako przyszły kandydat do korony i byłby nim może, gdyby sprawa ze Zborowskim szyków mu nie pomieszała. Skupiali się około tego wybrańca fortuny najznakomitsi i rodziny najstarsze; owi krakowscy *primates*, którzy od wieków tu przewagę mieli, przyjmowali go za swojego. Z Tarnowskimi i z panami z Tęczyna stał jak najlepiej. Od Zborowskich i od obozu przeciwników odpadało wszystko, i jak to po ludzku się zawsze dzieje, słabych opuszczali nawet ci, co im wierność byli powinni.

Siła zawsze ma w sobie moc przyciągającą.

Doświadczali tego teraz panowie Zborowscy, gdy, usiłując zbliżyć się do tych, co im niedawno jeszcze potakiwali, znajdowali ich zimnych, milczących, zmienionych i jakby przerobionych na innych ludzi. Wszystko się od podejrzanych o jakieś knowania odsuwało i zapierało wszelkiego wspólnictwa z nimi.

Marszałek Andrzej, którego za przejednanego uważano, znajdował jeszcze ludzi, co się obok niego publicznie stanąć ośmielali, ale podczaszy, o którym się wieść rozeszła, iż go król ani widzieć, ani chciał z nim mówić — chodził jak zapowietrzony, nigdzie się nie mogąc ukazać.

Co się z nim działo i jaki gniew a pragnienie zemsty w duszy nosił, o tem wiedział jeden może Samuel, którego on częstemi a nieostrożnemi nawiedzał listami, nie wyjeżdżając z Krakowa, choć wcale już tu co robić nie miał. Poił się tą żółcią, aby ją później wylać.

Na nieszczęście swe, to, na co patrzał, znajdował tak pomyślnem dla Batorego i Zamojskiego, iż przy najgorętszej chęci znalezienia czegoś na pociechę swoją, nic wyszukać nie mógł.

Późno wieczorem, dni, poprzedzających ślubowiny, schodzili się wszyscy na ulicy Franciszkańskiej, gdzie Jan opowiadał, co w najbliższem hetmana kółku widział i słyszał, Andrzej, co między pokrewnymi żony po-

chwytał, a Krzysztof to, co między gawiedzią, nieprzyjazną królowi i hetmanowi, krążyło.

W istocie gawiedzią się to nazywać godziło, bo w miarę, jak szczęście Batoremu i Zamojskiemu służyło, nieprzyjaciele ich z wyższych warstw znikali i nieprzyjaźń na dno społeczne schodziła.

Krążyły i przekąsy, i plotki, i małe paszkwilusy, bo na tych nigdy i nigdzie nie zbywa, — ale to było tak liche, tak niepozorne, a po bakalarsku sklecone, że tylko gawiedzi, co smaku w gębie nie miała, podobać się mogło.

Drobna szlachta, która rada była popisać się ze znaczeniem swych głosów, zawsze na despotyzm i gwałcenie swobód narzekała, ale zwycięstwa na granicy, pokój od nieprzyjaciela przeciwko niej mówiły.

Zamojski zresztą dla rozbrojenia niechętnych właśnie pod tę porę czynił, co mógł, a powodziło mu się — nieprzejednanych, jak Krzysztof, pozostawało niewielu.

Podczaszy niezmiernie był czynnym. Działanie jego jednak poza pewne, ciasne kółko nie mogło się rozszerzyć. Oprócz Samuela, kilku Spytków uboższych i młodszych, a niedoświadczonych Stadnickich, ze znaczniejszych zaś, prócz bogatego pana z Górki, Wielkopolanina, Chodkiewicza i jednego Ossolińskiego, — nie miał za sobą nikogo. I z tymi, jak z Ossolińskim, wojewodą sandomierskim, otwarcie rozmówić się nie mógł, bo żaden z tych niechętnych Stefanowi, zazdroszczących Zamojskiemu, tak daleko, jak on, się nie posuwał; nikt ani nie pomyślał o gwałtownem wyzwoleniu się, ani buntu myślał podnosić.

Krzysztof zaś już o niczem nie myślał, tylko o zdradzie, bo w niej jedynie widział zbawienie. Kto wie, czyby nawet pokryjomu do Moskwy się nie udał, gdyby nie wiedział, że oko na niego miano. Milczał więc i czekał.

Samuel tymczasem, daleko gorętszy i mniej ostrożny, dawniej jeszcze zasłyszawszy o przejeździe pana Olbrachta Łaskiego, wojewody sieradzkiego, którego miał w podejrzeniu, że królowi chętnym być nie mo-

że, w kilka koni skoczył był naprzełaj, aby się z nim zetknąć i rozmówić.

Nie bez przyczyny może wojewodę niespokojnego umysłu i ambicji wielkiej posądzano o knowania jakieś, a że to do Samuela doszło, chciał korzystać i z sobą a Krzysztofem go związać. Ale mu się to nie powiodło. Rozważniejszym daleko był pan Łaski, a choć wiele gołów ważyć, — na ślepo nigdy nie chodził.

Samuel znanym był z warcholstwa, jak wszyscy niemal Zborowscy, znał ich i z tego, że języka utrzymać nie umieli, ostrożnym więc być postanowił.

Z Krzysztofem razem znajdowali się na cesarskim dworze, i obu im poseł moskiewski listy wielkiego kniazia doręczył, a ta była różnica w ich przyjęciu przez obu (o czem Samuel nie wiedział), że Krzysztof list swój wziąwszy, czytał go i odpowiedź nań dał, Łaski zaś narzędzie sobie z niego uczynił, aby u króla zaufanie pozyskać. List więc odebrawszy, nie otwierał go i z pieczęcią nienaruszoną królowi Batoremu go doręczył.

Samuel znał widać wojewodę sieradzkiego z rozgłosu i mienia tylko i powieści, jakie o nim chodziły. Spotkawszy się więc z nim, zuchwale, jak był zwykł, począł go namawiać do przymierza i zdrady.

Łaski przed lekkomyślnym warchołem nie myślał się spowiadać z tego, co w sobie nosił. Przyjął go bardzo zimno i począł od tego, że mu historję onego listu moskiewskiego opowiedział.

— Widzisz, — rzekł wkońcu — że ze mną o tem nie masz co mówić, bo ja się czuję mocen w cnocie i wierze swej, czuję się krwią polską; cnotliwą [1]) nie przychodziło to na żadnego Polaka, aby przeciwko panu swojemu knował, a tem więcej mnie tego czynić nie przystoi.

— Więcej waszej miłości powiem, — dokończył Łaski — że oto tej rozmowy z wami królowi nie zataję, ale ją panu powtórzę.

Samuel, może gdyby gdzie indziej i z kim innym

[1]) Historyczne. *P. A.*

to zaszło, porwałby się przeciwko zuchwałemu, na Łaskiego nie śmiał. Roześmiał się pogardliwie.

— Jeżeli chcesz mnie wydać, — rzekł — czyń jak ci się zda, ja się tego, jako żywo, zaprę!

Na tem się skończyła próba niefortunna.

Teraz, po krótkim pobycie w Białym Kamieniu, niespokojny Samko wyruszył, niewiadomo — za zaginionym Wojtaszkiem, czy też ludzi ściągając i traf chciał, aby się z Łaskim, jadącym do Krakowa, zjechał w gospodzie.

Nie zapomniał danej sobie odprawy i owej obietnicy, że królowi miał donieść o rozmowie, a był pewien prawie, że Łaski, pogroziwszy, — słowa dotrzyma. Gdy się więc we wrotach gospody zeszli i pozdrowili, Samuel zawołał drwiąco:

— Czołem! Czołem! A co, mości wojewodo, umalowaliście mnie z łaski swej przed królem jegomością?

Na co Łaski poważnie odparł:

— Ja marnych słów nie lubię, a com rzekł, strzymuję zawsze; królowim rozmowę powtórzył i chciałem, aby was pozwać kazał, abym wam w oczy świadectwo to złożył.

— A król na to? — zapytał Zborowski.

— Król odparł: — *Non est opus.* To są jego słowa — rzekł Łaski. — Znam nadto panów Zborowskich, abym mógł o tem wątpić. Dziwiłbym się, gdyby inaczej myśleli.

— Ho! ho! — roześmiał się Samuel. — Nie wierzę!

— Nie kłamię nigdy — dodał Łaski.

Zborowski odstąpił krok i zapytał:

— A cóż wam dał za to?

— Nic mi za to nie dał, bom nie dlatego powiedział mu, aby mi co za to miał dawać, — ale z powinności mej, jako poddany i wojewoda.

Samuelowi zrobiło się przykro, ale butno ramionami strząsnął.

— Będąli mnie badać, zaprę się, jako żywo.

Naco Łaski zimno odparł:

— Pan Bóg nas sprawiedliwie nietylko z czynów, ale i ze słów sądzić będzie.

Poszło to mimo uszów Zborowskiemu i zamruczał tylko:

— Nie wierzę, abyś to miał mówić.

Łaski cofnął się do gospody, nie chcąc dłuższej prowadzić rozmowy i kończąc ją słowy:

— Wierz lub nie, wolno ci!

Do tego pan Samuel wielkiej nie przywiązywał wagi, ale jako o wszystkiem Krzychnikowi donosił, tak i rozmowę swą mu posłał w liście, bo Łaski do Krakowa jechał i łacno było podczaszemu, po starej z nim znajomości na cesarskim dworze, stosunek jakiś na nowo zawiązać.

Znalazł jednak pana wojewodę dumnym, zimnym i zamkniętym, jak wszystkich, do których się zbliżał teraz, i nie myślał, jak pan Samuel, podawać mu serca swojego na półmisku.

Polityk, gdy tego widział potrzebę, — wojewoda nie myślał ani podczaszego za Samuela czynić odpowiedzialnym, ani o tem zajściu mu wspominać, lecz gdy się Krzychnik coś kwaśno o królu odezwał, rzekł mu:

— Nie tajna to, że ichmoście wszyscyście króla i kanclerza przeciwnikami... ale przeciwko wody płynąć trudno...

— A no z wodą też nie każdemu po myśli — rzekł podczaszy.

— A więc cóż? — zapytał Łaski.

Nadto był przebiegłym Krzysztof, aby, jak Samuel, miał się zdradzić, rzekł więc:

— Juści można, do brzega się przytuliwszy, ani z wodą, ani przeciw niej nie płynąć, — a w miejscu pozostać.

— To już trupem pachnie! — zawołał Łaski.

Podczaszy, który wiedział o rozmowie jego z bratem i o jej skutkach, chciał naprawiać, co porywczość Samka popsuła, i odezwał się:

— Nie wiążcie mnie tylko do pary z gorąco kąpanym Samuelem, o którym uprzedzeni jesteście źle, ale

u Samka więcej słów i hałasu, niż roboty, a gorszym się daleko czyni, niż jest.

— Dałby Bóg i jemu, i innym opamiętanie, — dodał Łaski — bo przeciwko panu temu iść, który nas odniósł i ze słabych uczynił mocnymi — grzech to wielki. Miły on komu czy nie, a poszanować go trzeba i uczcić!

— Rękę ma żelazną — westchnął Krzysztof.

— Innąby też nic z nami i z nieprzyjacioły nie uczynił — rzekł Łaski, który rozmowę rad był zakończyć.

Gdy tak, jak z panem Łaskim i z innymi, podczaszy zagaił a zagrał z tej nuty, która brzmiała opozycyjnie, zaraz mu usta zamykano, nic już odpowiadać, ani nawet słuchać nie chcąc.

W smutnem cale położeniu się znajdował, ale postanowiwszy dotrwać, aby dobrze położenie zbadać, doczekał wreszcie podczaszy, iż miał z kim spiskować.

Ponieważ czasu wesela i zabaw ludzie się zwykle łatwiej wynurzają z tem, co myślą, a języka na uwięzi trzymać nie zwykli — i z cesarskiego dworu, który zawsze na Polskę miał oczy zwrócone, i od Moskwy przybyli ludzie nieznaczni z poleceniem, aby języka dostali. A że na Moskwę i wszystko, co stamtąd szło, oczy pilno były zwrócone, musiał się wielki kniaź posłużyć tymi Rusinami, którzy mu po Ościku tam pozostali. Tym zlecono, aby też ze Zborowskimi się zwąchali.

Zdziwił się nieco podczaszy, gdy mu jednego ranka oznajmiono, iż się z nim ktoś na osobności widzieć życzył; ale od tak dawna ludzi szukał, a jego nikt prawie, iż gościowi rad był niepomiernie.

Z pierwszego spojrzenia, gdy przybysz na próg wchodził, Krzysztof w nim poznał Rusina lub Litwina, bo i suknię miał krojem, więcej do moskiewskiego zbliżonym, uszytą, i w mowie śpiewnej pochodzenie zdradzał...

Skłopotany począł od tego, iż się jako Worczeńko, panów Chodkiewiczów sługa i domu ich przyjaciel, na kresach osiadły, prezentował, przybyły na wesele dla

ciekawości, a że tu nikogo znanego sobie nie miał, Zborowscy zaś w koligacji byli z Chodkiewiczami...

Przedmowa ta, dosyć niezręcznie sklejona, panu Krzysztofowi doskonale była zrozumiałą; domyślał się, z kim miał do czynienia, i gościa na ławie posadził.

Worczeńko miał się za bardzo przebiegłego dlatego, że z prostymi zawsze ludźmi miał do czynienia, a tu wpadł na takiego, co myśli czytał, nim one mu w głowie powstały...

— Toście wy nam tu gościem bardzo pożądanym — odezwał się Krzysztof. — A co tam kniaź myśli?

Zagadnięty w ten sposób Worczeńko języka w gębie zapomniał zrazu i oczyma trwożliwie potoczył dokoła.

— Albo ja wiem, co u niego w myśli? — odparł przelękły.

— Prędzejże wy zbliska, niż my zdala posłyszymy — odparł podczaszy. — Chce on w istocie zgody? Prawda li to, że do papieża posłał, aby się o wierze rozmówić, z kościołem połączyć i z nami sojusz zawrzeć?

Worczeńko zmilczał. Na tak kategoryczne zapytania sam nie wiedział, jak mu odpowiadać wypadało.

Siedzieli czas jakiś, wzajem się oczyma badając, aż wreszcie poseł się ośmielił i szepnął cicho:

— Mnie się do was zgłosić kazano.

— Kto?

— No, znajomy wasz... co listy nosił — szepnął Rusin — i co (tu się pochylił mu do ucha) o przysiędze wie...

Wspomnienie przysięgi nieprzyjemnie dotknęło Krzysztofa. Prawdą bowiem było, iż ją złożył wielkiemu kniaziowi moskiewskiemu, że mu służyć będzie, ale się teraz obawiał, aby ją głową nie przyszło opłacać. Położył palec na ustach, a potem podał rękę Worczeńce.

— Cyt, bo ściany uszy mają — rzekł. — Z czemeście przyjechali?

— Pytacie poco? — odparł Rusin. — Nie przywio-

złem ja nic, ale dostać języka pragnę. Co tu o pokoju trzymają?

— Gotują się do wojny! — zawołał podczaszy. — Działa leją, ludzi zbroją, król sam puszkarzy pilnuje. Nie wiem, czy się spodziewają sojusz zawrzeć, ale to pewna, że wojna ich nie weźmie śpiących.

Worczeńce twarz się wydłużyła i pobladła.

— A toć przecie wielki kniaź do Rzymu posłał i z księżmi papieskimi radził i radzi... Czegoż oni chcą? Czy i to ich nie uśpiło?

— Nie wiem czy wierzą, ażeby z tej mąki chleb był, — zawołał podczaszy — bo co ja, wcale się nie spodziewam, aby wielki kniaź papieżowi się miał pokłonić. Posłał on od siebie i przyjmie posła, a co mu szkodzi rozprawiać o kalendarzu i Credo... ale z tego nie będzie nic!

Worczeńko, nie śmiąc mówić, dał znak potakujący.

— Nu! — zawołał — nam się zdało, że oni się na to wezmą, czego się im bardzo chce i uwierzą, iż wielki kniaź też tego pragnie. Ale jemu papież nie w głowie... tylko czas chciałby zyskać, bo nas wojna wycieńczyła i nowych do niej przygotowań potrzeba. Chytrego mnicha posłali, — dodał — ale wielki kniaź mądrzejszy od niego.

Pokiwał głową Worczeńko.

— Nu — rzekł — chytre i to są stworzenia, kiedy się na lep wziąć nie dały.

I zadumał się ponuro.

— Rachowali my, że tu trochę sobie odpoczną i o wojnie myśleć nie będą... — tośmy się omylili!

— Omyliliście się, bo nie znacie człowieka — mówił podczaszy. — U nas nie król, ale kanclerz na tronie. A coby on robił, gdyby nie wojował? Zawrze z wami sojusz, to pójdzie na Wołocha albo na Turka, ale oręża z ręki nie puści. Dopóki on na tronie, wasz wielki kniaź spokoju mieć nie będzie, choćby nie wiem co obiecywał.

Tu się podczaszy obejrzał.

— Ale my się go pozbyć musimy, bo on równie

nam groźny, jak sąsiadom. U nas pod nim niewola... a my jej nie znosimy!

Rusin słuchał milcząco.

— Aby prędzej, — rzekł — pozbądźcie się go. Gdyby i pomóc wam przyszło...

Podczaszy ramionami strząsnął.

— Ciężko z nim co poradzić — rzekł. — Wiecie, co się z Ościkiem stało, na mnie też oko mają, choć nic nie wiedzą... Ja muszę być ostrożnym; o mnie już jemu doniesiono.

Strwożył się Worczeńko.

— A cóż ze mną będzie? — zawołał. — Mnie przykazano czasu wesela tu zostać, wszystko widzieć, słuchać i zapamiętać.

— Łatwiej to wam, niż mnie przyjdzie, — odparł podczaszy — bo was tu nikt nie zna i za wami chodzić nie będą. Jest gości siła, kto ich tam ma rozpatrywać. Wyście bezpieczni.

Na tem skończyła się pierwsza część ich rozmowy. Dowiedział się Krzysztof o gospodzie posłańca, dał mu instrukcje i przestrogi, nie taił, że mu rad, ale razem wyraził zdumienie, iż go z gołemi rękami przysłano.

Worczeńko w istocie klął się, bijąc w piersi, że sam ledwie miał o czem przeżyć.

Naznaczywszy mu godziny, w których bezpiecznie, niewidziany, mógł się na Franciszkańskiej ulicy znajdować, podczaszy go odprawiał, rozmyślając, jakąby mógł z tego korzyść wyciągnąć. Chciałby się był zaraz pochwalić panu Andrzejowi temi stosunkami, lecz po rozmyśle do czasu zmilczał. Kasztelanowi zaś zwierzać się wcale nie zamierzał...

Kilka dni upłynęło i podczaszy począł już coś snuć i budować na onym tajemnym pośle wielkiego kniazia. Wesele było za pasem, ludzi tłok coraz większy. Obracać się też łatwiej było, bo wśród tłumu zniknął pojedyńczy człowiek i uwagi na siebie nie zwracał.

Uspokoił się nawet podczaszy co do Worczeńki, iż go tu nikt nie dojrzy i nie posądzi o to, z czem przyjechał.

Wtem jednego wieczora wpadł pan Andrzej, poruszony mocno, tak, że o zwykłem umiarkowaniu i udanym spokoju zapomniał.

— Skaranie Boże! — zawołał do podczaszego. — Wyście z Samuelem popędliwością waszą naciągnęli na nas wszystkich podejrzenie, tak, że teraz niesłusznie już nam na barki kładą, co nie wiedzą, gdzie pomieścić.

— Cóż wam, panie marszałku — odparł zimno Krzychnik — co? Jam znowu winien!

— Nie wiem już kto, ale mnie na zamku młody Sładnicki przestrzegł, iż na nasz dom kanclerz ma oko, bo do niego szpiegi moskiewskie chodzą!

Załamał ręce marszałek, a Krzysztof zbladł i usta wykrzywił.

— Skądże to mają? — wybąknął.

— Albo ja wiem, — począł pan Andrzej — dosyć, że mnie przestrzeżono. Wy lepiej wiecie, czy mają do posądzenia fundament.

Wyparł się podczaszy.

— O Bożym świecie nie wiem! Gdy nie mogą cesarzem, to wielkim kniaziem mnie obarczają; dosyć, że już chyba, aby darmo nie cierpieć, gwałtem spiskować przyjdzie. Ma człek być prześladowanym, niechajże wie, za co...

I przerwał rozmowę.

Nazajutrz rano bardzo już Krzychnika w domu nie było, a że na mszę nie zwykł był chodzić, dziwił się wojewoda, iż tak wcześnie z domu wybiegł. Podczaszy zaś chciał Worczeńce dać przestrogę i zakazać, aby jego noga nie postała więcej na Franciszkańskiej ulicy.

Tak się w niczem Zborowskim nie powodziło, a ta sieć, którą byli obmatani, z ręki Mroczka się wysnuwała.

Wierny sługa kanclerza, raz na trop wpadłszy, już go nie stracił z przed siebie.

Miał podczaszy pacholika niedawno przyjętego, który o każdym jego kroku donosił; przez niego Mroczek

dowiedział się o Rusinie i póty około niego toczył, aż doszedł, z czem, od kogo i poco tu przyjechał.

Częste odwiedziny u Fontanusa także Mroczkowi były podejrzane. Wiedział, że Zborowscy na wszystko są gotowi, a że na kulawego Dzierżka niebardzo się mógł spuścić, sam jednego wieczora udał się do apteki.

Zachodziło tam ludzi dosyć, to kropli wzmacniających, to napoju krzepiącego, to różnych lekarstw żądając od aptekarza. Mroczek, choć zdrów jak wół, musiał parę razy się czegoś napić, lecz po staroświecku rozumował sobie: zdrowem to ma być, — zacóżby mnie miało zdrowemu być szkodliwem?

Jednego dnia przemknął mu się tu podczaszy, ale nieznajomego spostrzegłszy, natychmiast zniknął.

Mroczek nieznanym był Fontanusowi, zdala go tymczasem starał się poznać... i wkońcu pozostawszy z nim sam na sam, zagaił rozmowę od tego, że się o przywilej na aptekę spytał. Fontanus wziął to zrazu za prostą ciekawość i zbył go ogólnikiem.

— Ale bo, widzicie, — rzekł Mroczek — czasy takie nastały, że kanclerz wszędzie porządek chce czynić, nie ostaną się i apteki bez dozoru.

— Słyszeliście o tem? — spytał Fontanus.

— Co waszej miłości taić mam — jam żołnierz i sługa kanclerza — rzekł rotmistrz — mam zręczność słyszeć, co się tam mówi i projektuje. — Nie tajna i to rzecz, że źli ludzie na żywot i zdrowie króla jegomości czyhają, a mogą własnem to przypłacić, bo jest na nich czujne oko. Do tych ludzi należy pan podczaszy Zborowski, który tu u waszej mości często bywa...

Fontanus, gdy słuchał, nogi tak mu osłabły i dygotać poczęły, że się o stół oprzeć musiał, aby nie upaść. Sprzyjał on panu Krzysztofowi, czy się z niego korzystać spodziewał, czy rachował na zarobek, który mu spiski przynieść mogły, gotując się je wyzyskać ostrożnie — wszystko to w jednej chwili prysnęło i rozwiało się; groziło niebezpieczeństwo poważne i nie do lekceważenia.

Niemiec powiedział sobie, że powinien był stanąć

po stronie silniejszego. W samej rzeczy nie obchodziło go tak bardzo, kto komu szkodę wyrządzi, byle on pozostał cały. Należało więc otwarcie się przed panem Mroczkiem wyspowiadać, bo ten przedstawiał króla, władzę, urząd i sprawiedliwość.

Nie chciał szkodzić nikomu, ale najmniej samemu sobie. Wziął więc, ochłonąwszy nieco ze strachu, dosyć zręcznie i naprzód długo głową kiwając, patrzał na Mroczka, jakby chciał dobrze wyrozumieć, z jakiego rodzaju człowiekiem miał do czynienia, a potem rozpoczął:

— Posłuchajcie mnie, miłość wasza, a naprzód chciejcie zaufać, że jak na spowiedzi prawdę wam mówić będę. Posądzacie mnie, że trucizny trzymam, ale tę lada baba dać może, silniejszą może nad tę, które ja znam. W fabrykowanie wenenów ja się nie bawię, bo u nas one nie popłacają. Tu ubić pięścią w miejscu rzecz nierzadka, ale się uciekać do napojów i potajemnie na życie czyjeś czyhać, nie polska rzecz... Więc zaręczam wam naprzód, że ja tem nie handluję, ale na aptekę spojrzawszy, każdy myśli: tam i życia i śmierci za pieniądze dostać można!

Poruszył ramionami.

— Jestem pewnym, — dodał — że u mnie kupować trucizny nikt nie myślał naprawdę, ale się dowiedzieć chciano, czy kto inny jej nie dostał. — Wy posądzacie Zborowskich, że oni dla króla, czy hetmana jej potrzebują, a Zborowscy się boją, aby im Krzysztofa, albo Samuela nie otruto. Dlatego z dwóch stron oto nachodzicie mnie i ciągniecie, azali nie sprzedam, a ja powiadam i im, i wam, że sprzedaję...

— Jakto? — zakrzyknął Mroczek. — Więc, co myślicie?

— Myślę lada jakiego ziela za gruby pieniądz dostarczyć, — rzekł Fontanus — aby gdzie indziej go nie szukali: zła ono nikomu nie zrobi.

Uśmiechnął się aptekarz.

— Przychodził do mnie, o truciznę dowiadując się, wasz człek, — dodał — bo kulawy do waszych nale-

żeć musi — badał mnie podczaszy Zborowski, ale nikt nikogo truć nie myśli, tylko się sam obawia być otrutym.

— Mówię wam prawdę — rzekł, odetchnąwszy — śledźcie, to się o tem przekonacie.

Mroczek słuchał, rozważając i mowa zdawała mu się rozumną.

— A no — dodał Fontanus, okulary poprawiając— nie ja jeden tu aptekę mam. Chcecie li mi zawierzyć? ten, co truć zamyśli, w publicznej oficynie szukać nie będzie środków po temu... przywiezie sobie z Włoch, dostanie z Niemiec albo i od bab z Rusi, kędy czarownice i trucicielki mają być pospolite.

— Panom zaś Zborowskim, — rzekł wkońcu, czując się w obowiązku wystąpienia w ich obronie — panom Zborowskim nie przypisuję myśli zdradliwego podsuwania napoju. Powinniście ich znać: każdy z nich ubić może bardzo łatwo, gdy w pasję wpadnie, szczególniej Samuel, ale się podkradać i podstępnie życia pozbawiać, to nie jest ich rzecz. Podczaszy się o własne boi i utrzymuje, że kanclerz chce go zgładzić trucizną.

Porwał się Mroczek gniewnie.

— Milczże — krzyknął. — Kanclerz, pan mój, we Włoszech, prawda, bywał i mieszkał, i zna włoski obyczaj, ale go nie przejął i z odkrytą przyłbicą walczy a pokryjomu nic nie czyni... posądzać go nawet o to grzechem jest.

— Ja też tego nie czynię, ale drudzy — zawołał Fontanus.

— A ci, z siebie sądząc, tego się dopuszczają — odparł Mroczek.

Uspokoił się zwolna Fontanus, a po rozmyśle i rotmistrz także ostygł.

— Nie jest mi źle w Krakowie, — rzekł po chwili aptekarz — nie skarżę się, ale mam li być posądzanym, a na męki ciągniętym, wolę zwinąć moją oficynę, a na Śląsko się wynieść, albo do Pragi.

— Czego ja ci podczas nie życzę, — dodał Mro-

czek — boby rzeczono, żeś się czuł winnym i zbiegł przed pomstą. Siedź w miejscu, a złego nie czyń.

Fontanus się skłonił.

— Bądźcie pewni, — dodał — że tu nie o zadanie trucizny chodzi, ale o jej obawę...

Wstał rotmistrz i zaleciwszy aptekarzowi milczenie, odszedł precz uspokojony.

Sam pozostawszy, Fontanus dopiero począł się rozmyślać, co miał czynić i po czyjej stać stronie: uchodzić czy pozostać? Zdawało mu się wszakże, iż z Mroczkiem dosyć otwarcie postąpiwszy, mógł bez obawy w miejscu siedzieć.

Właśnie mu też obiecywał się zarobek znaczny, bo przed weselem jeszcze do tutejszych lekarzy, do Oczka i do Buccelli — przybyła dla leczenia się siostrzenica hetmana Zamojskiego, małżonka Jana Dulskiego, kasztelana chełmskiego, podskarbiego koronnego — około której zdrowia co było lekarzy najsławniejszych podówczas: Buccella, Oczko, Botrinnius, Roguski, Gosławski, — wszyscy się krzątali.

Zapisywano, wedle formuł ówczesnych, długie na łokcie recepty, a Fontanus potem jeszcze dłuższe za nie wystawiał rachunki. Nie było prawie dnia, żeby z apteki jego czegoś nie potrzebowano; smutno więc było Kraków opuszczać.

Wesele, przy którem turnieje mnogie guzy obiecywały pokup na plastry i balsamy, także się aptekarzowi uśmiechało. Nie było bowiem starcia, choćby nie na ostre goniono, żeby ktoś potłuczonym nie był i smarować się nie potrzebował, byle go tylko koń, lub zbroja własna przygniotła.

Westchnąwszy więc nad nieodłącznemi od powołania swego nieprzyjemnościami, Fontanus postanowił nie opuszczać Krakowa, nikomu trucizny nie sprzedając i nikomu nadziei otrzymania jej nie odmawiając.

Rotmistrz Mroczek, który po żołniersku spełniał swe nadzorcze obowiązki, rycersko też je pojmował i wyszedł z apteki uspokojony znacznie, wszystkie te plotki i wieści, jako ze strachu pochodzące, lekcewa-

żąc. Bądź co bądź jednak oko na Zborowskich mieć postanowił, bo co z cesarstwa, od Niemiec i od Moskwy się zwlekało, prędzej czy później ku Zborowskim się kierowało.

Krzysztof unikał wprawdzie ukazywania się publicznego, siedział w domu, albo zdala od zamku krążył, ostrożnym był wielce, ale do Piekar dojeżdżał, a stamtąd Włodkowa, kędy potrzeba było, posły i posłańce na cztery krańce świata rozsyłała, rada bardzo, że czynną być mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, gońcy, wyprawieni za zbiegłym Wojtaszkiem, napróżno go szukali. Znikłszy z Białego Kamienia, nie pokazywał się w Złoczowie, kędy go domyślano, a we Lwowie po tych kątach, w których się zwykle zaszywał, także go nie znajdowano. Obawiał się więc pan Samuel nie bez przyczyny, aby w pierwszym impecie listów, które czytał i spisków, o których wiedział, nie poszedł dla pomsty kanclerzowi wyjawić.

Chwila jednak tej zdrady nie nadeszła jeszcze. Samuel ostygł, bo u niego żaden ogień nie trwał długo, gotów był przebaczyć i wmawiał w siebie, że lutnista, zatęskniwszy, pod strzechę powróci.

V.

Dnia dwunastego czerwca miało się odbywać ono sławne wesele, ku któremu już wszystko było w gotowości, krom małych rzeczy, które w sali na Rabsztynie, przez Zamojskiego na przenosiny zbudowanej umyślnie, obszernej bardzo, bo gości na seciny liczyć miano, jeszcze coś wieszano i przybijano. Ale na to rzemieślnicy jeszcze tydzień czasu mieli, bo tak było postanowione, iż król gody synowicy sprawował przez niedzielę całą, a drugą trwać miały zabawy na przenosinach u hetmana.

Dawno już takiego popisu okazałości Polska nie widziała, więc co było opon po skrzyniach i starych

zbroi po dworach i oręża pięknego, szytych złotem sahajdaków, hełmów szmelcowanych i złoconych, — wszystko to teraz na świat Boży wychodziło, przódy przez ręce płatnerzy przeszedłszy, którzy rdzę i prochy oczyszczali. Sprowadzono też wiele rynsztunku z zagranicy.

Przedewszystkiem rycerstwo młode zabawiało się turniejami, dawno niebywałymi, bo te już tylko jako stary obyczaj rycerski utrzymywały się, gdy wojna coraz nowe wymysły i oręż odmienny wprowadzała.

Ślub nowożeńcom dawał w kościele Św. Stanisława na zamku w obecności obojga królestwa ks. biskup kamieniecki, Marcin Białobrzeski, prałat, słynący z wymowy, postawy wspaniałej, wesołego oblicza i łagodnego charakteru.

Zaczem nastąpiły długie, owego czasu niezbędne ceremonje, przy których dłuższe jeszcze wygłaszano mowy, przy oddawaniu darów, marcepanów, w sprowadzaniu i oddawaniu w łożnicy, przyjmowaniu imieniem pana młodego i t. p.

Andrzej Opaliński, marszałek koronny, który po Gryzeldę do granicy wyjeżdżał, oddawał ją też panu młodemu, za co mu ks. Piotr Myszkowski, biskup krakowski, dziękował.

Nazajutrz kasztelan sandomierski, Tarnowski, pierwszy pani młodej od męża złożył upominki, a po tych nastąpiło wręczenie innych darów kosztownych od króla, królowej, książąt, panów, rad, senatorów, przytomnych i niebędących w Krakowie, a nawet od niektórych głównych miast i t. p.

I tu na mowach nie zbywało, bo przemawiał każdy z oddawających, a wszystkim za hetmana dziękował potem kasztelan trocki, Radziwiłł.

Upominki, począwszy od klejnotów do sreber, futer, tkanin, drogich naczyń pozłocistych, do sukna i rozmaitego kosztownego sprzętu, stosami zaległy u nóg pani młodej. Wszystko to miało tak królewski i uroczysty charakter, iż złośliwi przypominali ciągle wesele Zygmunta Augusta z pierwszą żoną jego, któ-

rego ceremonjał nawet do przyjętego teraz był podobnym.

Nie dziw też, że budziła się zazdrość, widząc szlachcica nagle z pośrodka siebie równych aż do tronu niemal podniesionego. A przyznać też musieli niechętni hetmanowi, że tę nową świetność, którą go przyoblekało połączenie z domem królewskim, dostojnie nosić umiał.

Po raz też pierwszy od wesela swego Stefan Batory publicznie się obok królowej Anny pokazywał, czego uniknąć nie było można. Dwa więc dwory oddzielne, które się nie znały prawie, jeden polski — królowej, drugi przeważnie węgierski — króla, spotykały się tu po raz pierwszy. Oba one zbytnim nie świeciły blaskiem, a z nich jeszcze królowej odznaczał się przepychem, bo jej urzędnicy i to, co ją otaczało, sadziło się na okazanie dostatku, który, niestety, razem z Boną zniknął rozproszony.

Zamojski sam, choć pan znaczny, obok przepychu królewskiego nie byłby mógł stanąć z nim narówni, gdyby szlachta, która czuła w nim brata i reprezentanta stanu swojego, tłumnie się przy nim nie stawiła i nie otoczyła go orszakiem okazałym.

W drugim tygodniu, gdy Zamojski ugaszczał i przyjmował, wystąpiły i turnieje, i maszkary, i na co tylko smak i umiejętność czasów owych zdobyć się mogły. I zaprawdę ci, co tu przybyli, aby patrzeć, mieli się przyglądać czemu.

Naprzód turnieje, których siedem par zapowiadano, odbywały się w rynku, gdzie Spiglerową kamienicę dla obojga królestwa przystrojono zielenią i oponami kosztownemi.

Był to już, jakeśmy powiedzieli, zabytek czasów dawnych, pamiątka, która teraz rzadko bardzo oczom się ludzkim przedstawiała. Starzy tylko rycerze jeszcze formy, obyczaj i prawa tych gonitw znali, a pokierować niemi mogli.

Najpiękniejsze zbroje tego wieku, które były ostatniem słowem kunsztu płatnerskiego, występowały na

turniejach, i osobny rodzaj hełmów, pancerzy, blach, tylko do turniejów przeznaczonych, porywał oczy pięknością swoją. Hełmy niektóre okrywały całe zbroje misternie trybowane, złocone, szmelcowane a kosztowały tysiące. Takież napierśniki, a najpiękniejsze tarcze na ten raz tylko ze skarbców podobywano, aby je potem przekazać wiekom potomnym, jako kunsztu pamiątkę.

W pierwszej parze do tych harców stanęli Podhorecki, z domu Bielinów, z Pawłem Raczkiem, przyczem się pierwszemu dobrze kopję swą skruszyć udało, a oba wyszli bez szwanku.

Za nimi szli tuż Andrzej Grudziącki z Jakóbem Jankowskim z dobrzyńskiej ziemi, Junoszą, któremu Jankowski przeszył rękę tak, iż kopja przez nią sterczała. Tedy już bez rozlewu krwi się nie obeszło, ale bez niej też nie byłoby prawie turniejów.

Potykali się potem Kazimirski Stefan Biberstein z Górskim, gdzie się pierwszemu z nich nie poszczęściło, bo mu Górski ramię prawe zgruchotał.

Mniej szkodliwe było starcie następnych: Pawła Piaskowskiego Junoszy z Mikołajem Rogozińskim, bo tylko, że kopje pokruszyli i wyszli bez szwanku.

Dalej Miłkowski, sandomierzanin Abdank, potykał się z Kirmańskim, który skruszył kopję o konia Miłkowskiego, a raczej o zbroję, którą ten był okryty, bo i konie do tych zapasów w żelazo odziewano, a miały co dźwigać na sobie.

Potem Krzysztof jeszcze Broniewski, z domu Tarnawa, ścierał się z Janem Dobkiem i konia mu też ubił. Naostatek wreszcie weszli w szranki ochotnicy ostatni: Stanisław Ciemiński z Bronisławem Orchowskim, ale na te harce mało już kto patrzył, bo następować miały maszkary, które największą ciekawość obudzały, więc na nie wytężona była uwaga.

Turniej ów, przy którego odprawieniu młode rycerstwo mocno obstawało, bo same widowiska i maszkary nie zdały się godności hetmańskiej odpowiadać, do różnych pobudzały refleksyj. Mimowolnie wszystkim

na myśl przychodził Wapowski, po którym wdowa dotąd chodziła w żałobie nieutulona w żalu, prawdziwie święta matrona. Przypomnieli się Zborowscy, co tak krwawo pierwszy niemal dzień panowania Henryka zaznaczyli.

Szukano ich tu oczyma napróżno i nie znajdowano, krom kasztelana, bo Andrzej nie występował naprzód, a Krzysztof, ciekaw oglądania, musiał się kędyś na strychu umieścić, małym i niepostrzeżonym czyniąc, aby go tam nie poznano. O Samuelu zaś ani mowy, ani słychu nie było i nikt się go tutaj ani spodziewał, ani myślał, by miał głowę ważyć dla ciekawości próżnej.

To też może nie dla niej, ale dla przechwałki późniejszej i dogodzenia zuchwalstwu własnemu Samuel potajemnie, samotrzeć w opończy niepokaźnej dobieżał do Piekar, wieczorem dnia jedenastego czerwca; a gdy go okrzykiem przestrachu przyjęła piękna Włodkowa, usta jej pocałunkiem zamknął.

— Cichoż ty, kuro zmokła! — zawołał. — Czego się lękasz i czemu dziwisz? Mnie tu niema, ani mnie oprócz ciebie ma kto widzieć i wiedzieć o mnie.

Drżała jeszcze siostrzenica, nie mogąc przyjść do siebie, bo przez Krzychnika nastraszona, o życie się Samkowe lękała, gdyby teraz śmiał się tu ukazać.

— Cóż cię tu przygnało? — zapytała, wiodąc go ku alkierzowi tak, aby żadna z kobiet widzieć go nie mogła, a chcąc ukryć od wszystkich oczu ciekawych.

— Co? — rozśmiał się Samuel. — Nie chcę, aby rzeczono, żem ze strachu na te ich jaselka nie patrzał! A potem — dodał, siadając obok Włodkowej na ławie — szukam zbiega, który bodaj nie do Krakowa się schronił.

— Kto? — zapytała Włodkowa.

— Alboż pytać trzeba? — zawołał Samuel. — Ten łotr Wojtaszek, spoliczkowawszy mi Boksickiego, konia dopadł i umknął. Lękam się go, bo jak pięknie śpiewa, tak brzydko zdradzić mnie i wydać gotów, a wszystkich moich uczynków świadom jest.

Słuchała Włodkowa, lecz wnet potem odradzać i zaklinać poczęła, aby się do Krakowa nie ważył, gdyż wiedziała od Krzysztofa, że pomimo zbiegowiska na każdego tam człowieka oko miano, a Samuelowi ukazanie się w Krakowie płazemby nie uszło.

Tylko, że z Samkiem rozprawiać, gdy on co postanowił, było to groch ciskać o ścianę. Słuchał, śmiał się, ale zawsze potem swoje zrobił. Udawało mu się bezkarnie dokazywać dla samego zuchwalstwa, które wszelką przechodziło miarę.

I teraz więc, gdy Włodkowa, po rękach go całując, usiłowała pohamować, on ją ściskając, wesoło upewniał, że cały wyjdzie, a wesele widzieć musi.

Znacznym będąc i wzrostem, i twarzą, i postawą, którą kto raz zobaczył, nie zapomniał, z trudnością się mógł do Krakowa dostać niepostrzeżonym, lecz nazajutrz rano, konia zmieniwszy u Włodkowej, i suknie wziąwszy od jednego z jej czeladzi, przebrawszy się jako mógł najlepiej, przede dniem jeszcze dobrze wyjechawszy z Piekar, nocą stanął w Krakowie.

Tu ani myślał zgłaszać się do braci na Franciszkańską ulicę. Miał w rynku mieszczanina sobie oddanego, którego Pająkiem zwano, i do tego się wśliznął, aby mu chociaż okna na strychu dozwolił.

Cierpła wprawdzie Pająkowi skóra na grzbiecie, bo się nasłuchał, jak tu na Zborowskich się odgrażano i co o nich trzymano, ale Samuelowi się sprzeciwić nie było sposobu. Gwałtem i przebojem na swojemby postawił. Na strychu więc, choć już komu innemu przyrzekł był komórkę, musiał ją dla Samka oddzielić, zalecając mu tylko, aby się nie pokazywał.

— Bądź spokojnym, — rzekł Zborowski — mam ja jeszcze dosyć do czynienia, abym zawczasu szyję ważył.

Skryję się dobrze, ale niech ludzie nie powiadają, żem ja, uląkłszy się odgróżek Zamojskiego, na to widowisko bał się przybyć.

Z onego okna na strychu wprawdzie nie całe szranki, nawet się wychyliwszy, objąć było można, zawsze

jednak mógł Zborowski turniej oglądać i z harcujących się wyśmiewać.

Na myśl mu wcale nie przyszło, ażeby wśliznąwszy się do Krakowa, miał zarazem natknąć się na tego zbiega, którego odzyskać pragnął. Tymczasem stało się, że Wojtaszek do Krakowa się dobiwszy, nigdzie tu przytułku znaleźć nie mogąc, pod murem zewnątrz cmentarza Panny Marji, konia głodnego trzymając w ręku, noc musiał spędzić. Dopiero mu nad ranem przyszła myśl szczęśliwa do Pająka się udać, którego znał i wiedział, że mu nie odmówi pomieszczenia.

Zobaczywszy go, Pająk ani pytał, tak był pewien, że z panem Samuelem razem przybyć musiał, na zapytanie więc o miejsce, na strych go poprowadził i wepchnął tam, gdzie się Zborowski zmęczony na garść słomy pod dachem znalezioną rzucił. Zobaczywszy pierwszy wchodzącego Wojtaszka, którego oczy z ciemności wschodów jeszcze się ze światłem nie oswoiły, zerwał się Samuel i nim lutnista się opatrzył, schwyciwszy go za kark, wstrząsnął nim i obalił na ziemię. Nim twarz pańską rozeznał, rękę jego poczuł Wojtaszek i domyślił się, jak tu wpadł nieszczęśliwie; zażył więc fortelu, mrucząc, że sam przecie przybył, aby mu się oddać.

Jak się rozprawili starzy znajomi, to opowiedzieć trudno; chytry i przebiegły Wojtaszek, jak całe życie uwodził i co chciał, czynił ze Zborowskim, tak i teraz okłamał go najlatwiej, przebaczenia nawet prosić nie potrzebował i wkrótce potem stanął za nim patrzeć na turnieje.

W ten sposób tylko to, co się stać miało wcześniej, przewlekło się, bo znużony, głodny, pieszczony lutnista, który grosza przy duszy, uchodząc, nie miał, a zarobić go dotąd nie miał zręczności, poddał się Samuelowi, choć go może tak samo, a może więcej, niż wprzód, nienawidził i miał stałe postanowienie, zdradzając go, wyzwolić się. Było mu to nawet na rękę, że się pojednał z panem, bo się spodziewał listy Krzysztofa, powróciwszy z nim do Kamienia, wykraść i niemi lepiej,

niż słowy, przekonać, iż Samuel z Krzysztofem zmawiali się i czybali na żywot króla i hetmana.

Przez cały czas turniejów Samko tak niemi był zajęty, iż prawie na Wojtaszka nie spojrzał, a lutnista układał przyszłe swe postępowanie. Jakiemi uczuciami oba względem siebie ożywieni byli, najlepiej to dowodzi, iż Wojtaszek obmyślał już tylko środki, jak ma skrypta opanować, a Samuel rozważał w sobie, co lepszem było, czy Wojtaszka z Motrunką gwałtem ożeniwszy, trzymać nadal przy sobie, czy go na łowach ubić, jak Trepkę.

Śpiew jego mu był potrzebnym, do chłopca nawykł, miał do niego słabość, ale się go obawiał i nienawidził i prędzej czy później przeczuwał w nim pragnienie zemsty i zdradę.

Gdy się to działo na strychu w domu Pająka, z kamienicy Pod baranami, onej sławnej, o której baranach Bielski napisał satyrę, wiele mającą rozgłosu, wyciągał po murzyńsku przebrany Mikołaj Wolski, miecznik koronny, krzepicki starosta, na wózku pozłocistym. Około niego było ośmiu trębaczów w złoto i szkarłaty przyodzianych bardzo suto, jechał też rycerz we zbroi złoconej, a na wozie o trzech kołach Fama, ponad którą unosił się orzeł biały. Wozem powoził rycerz zbrojny jednym koniem pod kapą szytą, a tego sam Wolski reprezentował. Oprócz Famy, wszyscy trębacze i rycerze, czarno umalowani, wyrażali murzynów, z innego świata przybyłych na odgłos Famy.

Początek ten dosyć się wszystkim widzom podobał i aplauzów mu nie brakło, ale tuż nadciągały inne dziwy tak, że starosta krzepicki znikł z oczów wśród gęstego tłumu.

Za Famą szedł elefant ogromny, jakby żywy, chociaż wiadomem było, że w czterech nogach jego stali czterej wyuczeni ku temu pachołkowie miejscy i one pokolei podnosili; na słoniu zaś tym, jako się to praktykuje tam, gdzie są one do posługi wyuczone, stała wieża wspaniała, z której górnego piętra rozmaite ognie puszczano.

Nakoniec jadący za nimi na trzech żywych wielbłądach murzyni nieśli złotą zasłonę, velum i jechał kawaler po murzyńsku strojny pstrokato, a z nim czeladzi i giermków kilkanaście, wszyscy strojni.

Wtem z kamienicy Kiślinga wyjechał pan Miński Stanisław, późniejszy wojewoda łęczycki, ale w niefortunną godzinę. Wóz miał na sterach obłokiem okryty, na którym siedziały obok siebie, jak się i to na świecie dziać zwykło — Fortuna i Nieszczęście. Obłok był z bawełny bardzo misternie uczyniony, wóz zaś ciągnęli trzej orłowie, na którym siedział Jowisz i ciskał straszne błyskawice i pioruny. A no się nie opatrzyli, iż bawełna od lada iskry strasznie płonie, więc się wziął na wozie pożar natychmiast, zapalił wóz, i ledwie nie wszystko w nim zgorzało, a sam bóg z wozu uchodzić musiał, aby nie spłonął; ale ogień, choć nie bez wielkiego trudu, ugaszono.

Wszystko się to małem czem zakończyło, ale że ludzie z każdej rzeczy prognostykony ciągną, zaraz się gadanie wzięło, że małżeństwo niebardzo będzie szczęśliwe i nietrwałe...

Do orszaku tego należało też dosyć giermków i koni pod dekami powodnych, których okrycia nietylko konia, ale stołuby nie zeszpeciły.

Ukazała się zatem *Porta triumphalis*, cudnie, pięknie i kosztem niemałym zbudowana na kołach, których wcale widać nie było. Ta się wysunęła od kamienicy Wajsowskiej i przeciągnięto ją aż za kramy nożowników, gdzie miejsce swe zajęła.

Jechał pan Mikołaj Zebrzydowski, starosta stężycki, z muzyką pięknie postrojoną, za którą postępował *Tempus* — Czas, bardzo kosztownie odziany w altembasy. Przed nim zaś posuwała się bania okrągła, ze złotego płótna uszyta. Tempus, siwy, brodaty starowina, poganiał Dzień i Noc, wóz ciągnęły Godziny, to jest dwanaście chłopiąt białych, a dwanaście czarnych z zegarkami na głowach. Czarne — w atłasach i kitajkach, białe — gwiazdami siane.

Za Czasem szło posłuszne mu i jak godziny do nie-

go przywiązane Słońce i Księżyc. Kończył pochód kawaler Saturnusowy, przed którym szli dwaj patronowie i czterech lokajów, bardzo wykwintnie ustrojonych.

Wszystko to, jako i kunszty poprzedzające, przeciągało przed królem i królową, którzy okazywali uciechę z tego widowiska, chociaż więcej ono pono dla gawiedzi, niż dla nich uczynione było, a Anna Jagiellonka, poczekawszy nieco później, bodaj ziewanie, chustynkę na ustach trzymając, pokrywała.

Książęta słuckie królowi jegomości chcąc zarówno jak hetmanowi uczynić przyjemność tę, że im wiktorję ich świeżą na pamięć przywiedli, całą niby wyprawę w osobach i emblematach reprezentowali. Tuż za nimi jechali trębacze w zbrojach pozłocistych, a dalej stu rycerzów na koniach i piechota z pozłocistemi szefelinami po staroświecku i wozy, na których Połock, Sokół, Wieliż, Wielkie Łuki, a na innych czterech wieziono skarby, skrzynie trzy, niesiono kubki, i szli dziwnie poubierani mężowie, niby jeńcy wojenni. Przyczem, żeby się ludzie nie cisnęli, wodą zaprawioną wonnościami na tłum strzykano.

Tego całego triumfu dla wielkiej rozmaitości osób, z jakich się składał, opisać jest trudno, gdyż mnogość była i więźniów, i rycerstwa, i niewiast powiązanych, niesionych łupów, i chorągwi, i wszelakiej zdobyczy wojennej, jako to na triumfach rzymskich, których kolumny pamiętne dotąd stoją, widzieć można.

Jechał i drugi Saturnus na wozie, który się sam poruszał, albo li też pod okryciem schowani ludzie go posuwali, ale ich widać nie było. Szli i szwajcarowie w zbrojach pozłocistych, których było osiemdziesiąt, za którymi jechał wóz modry, gwiazdy złote po nim, miesiąc, słońce i *Spes*, nadzieja, którą ślicznych pięć koni białych ciągnęło.

Za tymi dwunastu mężów w błękitnych atłasach nieśli w rękach dwanaście kubków pozłocistych, każdy inny, a jeden nad drugi piękniejszy robotą. Dalej jeszcze była czeladź książęca mnoga i same książęta od

złota i klejnotów świecące i sześcioro pacholąt dziwnie strojnych, które kopje niosły za nimi.

Można sobie wyobrazić na to patrząc, jaka zamożność tego domu być musiała i zasoby, których się tu ledwie jakaś cząsteczka okazywała.

Ponieważ król Stefan zwać się mógł wielkim łowcem, bo myślistwo wszelakie miał w upodobaniu, i począwszy od ptaków, psów, sieci i oszczepu do wabika, wszelkiej łowieckiej zabawce hołdował, więc mu tu Stanisław Żółkiewski, wojewodzic belski, boginię samą łowów Dianę reprezentował bardzo foremnie, że patrząc na nią, królowi się ciemne jego uśmiechnęło oblicze, na co mnodzy patrzyli świadkowie... Wojewodzic cały przyodziany był w kolor leśny, zielony, a za nim szło sześć panien i sześciu mężczyzn, zielono tak że poubieranych, bardzo kształtnie, którzy wiedli żywe jelenie, sarny i psy różne. U kobiet, czyli nimf, włosy, rozpuszczone na ramiona w puklach, iście złotem lśnić się zdawały. Wśród nich patrona w srebrnogłowej szacie, przy niej dwie niewiasty, jedna w atłasie białym, druga — w szkarłatnym.

Diana, przed królem mało co postawszy i pokłoniwszy mu się, siadłszy na koń, w dalszą drogę ciągnęła, innym miejsca ustępując.

Wszystkiemu temu nie koniec był jeszcze i przeciągnęło się to bardzo długo.

Zaczem Joachim Ocieski, starosta olsztyński, wyjechał z Gródka na wozie umajonym, który ciągnęło sześć koni ze skrzydłami przyprawionemi, a on sam konno po kawalersku. Na wozie wiezion był Kupido z chłopcem, który ślicznie pieśni miłosne zawodził, a przygrywała mu muzyka osobliwa, tak, że wszelki gwar dla niej ustał. Przyczem ciągle ognie sztuczne miotano.

Naostatek co najprzedniejsze, zdaniem wielu pozostało, wiedzione przez panów Jana i Piotra Myszkowskich, synowców rodzonych arcybiskupa, którzy ochędostwem i kunsztem nad innymi celowali. Naprzód szła muzyka nad insze pięknie, kosztownie a chędogo

ubrana, za nią czterej trębacze w żółtym z białym atłasie, za którym wieloryby dwa ciągnęły muszlę morską, której z oczu i nozdrzy woda wonna tryskała na ludzi, od czego jednak ustępować musiano, bo z oczów nie patrzała, ani gąb. Na tej tedy muszli albo czaszy siedziała Wenus w złotogłowiu wielce pięknym brunatnym, obszywanym żółtym i białym złotogłowiem; na głowie miała takiż strój.

Muszla i wieloryby przypominać miały, iż poeci greccy i rzymscy opiewali ją, jako z piany morskiej zrodzoną. Szły obok niej osobliwe pokonterfektowane cztery niewiasty, wyrażające Europę, Afrykę, Azję i *quarta pars mundi*, której nazwisko niestałe jeszcze było. Każda z nich miała swe *signa* i oznaki.

Szedł Parys z rękami wtyle związanemi, za którym jechali dwa patronowie w złotych koronach pięknie ubrani, a z tych jeden niósł jabłko złote, wdzięczną wonią napełnione, dar Jowiszowy Parysowi, z napisem: *Pulchior detur.*

To oddane zostało panu kanclerzowi, jako się samo z siebie rozumie, dla wręczenia jejmości.

Czeladzi było dwanaście, w żółtych, w czerwonych, w białych i modrych atłasach, cztery konie powodne, deki na nich szyte — atłasowe, błękitne, czerwone, żółte. Te wiodły białogłowy pięknie strojne, w kitajkach wiśniowych.

Wszyscy szli mimo króla po razu, tylko ostatni panowie Myszkowscy dwakroć, bo było na co patrzeć i czem się zabawić [1]).

Synowcowie tego krakowskiego biskupa z Wenerą zakończyli reprezentację tę, przy której *pro rei memo-*

[1]) Dwa mamy podobne, ale nieco się różniące od siebie opisy tego charakterystycznego widowiska, w Bielskim i Paprockim. Jeden i drugi dopełnia i prostuje. Paprocki był tam naówczas, patrzył sam, a dlatego tylko niedosyć, jak powiada, „dokładne dał opisanie", bo drudzy zasię woleli upatrzeć kędy mieszek z gotowym dziesiątkiem złotych, a misternie go oderznąć, co i mnie samemu uczynili. A dlatego za złe nie miej, jeśli się co dla frasunku nieporządnie napisało, bom zbył w ciżbie piętnaście talarów i mącka połowicę. (Paprocki, Herby). *P. A.*

riam, srebrne medale znane z napisem: *Livon, Polot, Recep*, rozrzucano.

Co się tam w duszy Samuelowej działo, gdy na te okazałe triumfy, na hołdy całego narodu i najprzedniejszych rodzin patrząc — o upokorzeniu swej familji dumał, to twarz jego, zmieniona okrutnie męczarnią wewnętrzną, aż do zbytku wyrażała, a Wojtaszek, czytając z niej, radował się, bo jego nienawiść dla pana równała się tej, jaką Zborowscy przysięgli Zamojskiemu.

I obaj ci na strychu ukryci widzowie knuli, — jeden pomstę nad triumfującym hetmanem, drugi zgubę tego, którego chleb jadł od dzieciństwa.

W tłumach mógł Samuel z tego okienka dostrzec i brata kasztelana, który pomiędzy widzami poczesne, jawne miejsce zajmował, a zdawał się zabawiać wielce temi kunsztami, dawno tu niewidzianemi, które lud prosty „pańskiemi maszkary" nazywał.

Wyjąwszy ową nieszczęśliwą pogorzel z bawełnianym obłokiem, o której wprędce zapomniano, wszystko poszło tak składnie i gładko, iż w tłumach nikogo nie zduszono i nikt się nie ozwał ze skargą. Zaś tryskanie wodą wonną wielce się gawiedzi podobało.

Król też weselszy powstał po widowisku, wraz z królową nowożeńcom na zamek towarzysząc.

Pająk, jako się znał na gościnności, a Samuela, gdyby ognia się obawiał, choć wiedział, że jemu tu się okazywać niebezpiecznie i ze stroju mógł wnosić, że widzianym być nie chciał, nie mógł go puścić wygłodzonego bez jakowegoś traktamentu. Na ten cel w alkierzyku odosobnionym stół wcześnie był zastawiony: miód, wino i zawiesista pieczeń, na którą zaprosił pocichu.

Nie dowierzając Wojtaszkowi, choć ten mu się jakby dobrowolnie stawił, kazał Zborowski iść mu za sobą. We trzech tedy wślizgnęli się do komórki, na cześć pana Samuela dwoma żółtemi świecami woskowemi oświetlonej, i gość bez ceremonji u stołu miejsce zabrał, a Wojtaszek, nawykły z nim razem biesiadować,

prosić się nie kazał. Spojrzał nań tylko Samuel, ale mu nic nie rzekł.

Pająk z złożonemi wtył rękami stał na straży.

— No — zawołał pan Samuel, obracając się do niego — dopełniło się tedy! Mamy jako we Francji delfina, bo to już i ślepy dojrzy, że pana Zamojskiego prowadzą do korony, ale jakośmy ją dali niewdzięcznemu Batoremu, bo nie kto, tylko my na karki nasze wnieśli, tak nie dopuścim, aby szarak ten nam panował. Wstyd i srom po Jagiellach i Piastach — Wileze zęby i Koźle rogi! Niedoczekanie ich!

Pająk milczał i aż mu się zimno robiło; gdy Samuel na niego spojrzał, zobaczył twarz ściągniętą i błagającą, aby poprzestał. Rozśmiał się więc Zborowski, nalał sobie kubek i za zdrowie Pająka go wychylił.

— Tak, oto widzisz — rzekł — losów igrzysko! Ten obcy człowiek nam tu panuje i rozkazuje, a my, ojczyce tutejsi, do których ta ziemia należy, nie zawojowani orężem, ani pobici, ale dobrowolnie w sidła się oddawszy, musimy tyranję znosić, banitami się błąkać, i patrzeć, jak dobrem naszem szafują ci, co pochlebiać umieją. — Ale, Pająku miły, czas płaci, czas traci... jutro jeszcze nie koniec świata, a ci, co we flussa grywają, mówią, że gdy kilka razy są pobici, pewno im los gotuje zapłatę. Tak się i nam zda, że przyjdzie dla panów Zborowskich godzina szczęśliwsza, naówczas im się też ludzie kłaniać będą.

Wtem, zadumawszy się nagle, gdy mu myśl jakaś przyszła, zwrócił się do Wojtaszka.

— Konia masz?

— A juścibym pieszo nie chodził, — odparł lutnista — choć mnie, jak jemu, dobrze się boki wciągnęły.

— Jedźże za mną i abyś mnie na krok nie odstępował — rzekł Samuel — a podle domu na Franciszkańskiej oba konie, nie wchodząc, potrzymaj, bo ja tam nie zabawię, a nie trzeba, ażeby mnie ani ciebie tam widziano.

— Tom ja już parobkiem do koni? — spytał Wojtaszek dumnie.

— Tem będziesz, czem ja ci być każę? — zawołał Samko.

— Nie, swojego konia wezmę, waszego dajcie komu ze dworu.

I mówiąc to, odwrócił się. Zborowski miał widocznie ochotę dać mu naukę, ale się powstrzymał i rozśmiał gorzko.

— Dajże tu kurze grzędę! — zawołał. — Chodź, wasze.

Pająk wprowadził ich na podwórze, gdzie szkapy znalazłszy napojone i niegłodne, siedli na nie, wyciągając z kamienicy w rynek, kędy około stojącej bramy triumfalnej siła ludzi zgromadzonych śmiało się i pieśni śpiewało.

Gromadki podpitych wałęsały się po rynku, a miasto wyglądało tak, jakby wcale spać nie miało tego dnia. Noc też czerwcowa dziwnie była piękną, jasną i ciepłą. W browarach i po szynkach czeladzie panów przyjezdnych nie tylko stoły obsiadały, ale izby tak były nabite, że się już do środka nikt dostać nie mógł. Ławy, powystawiane nazewnątrz, także pozasiadano gęsto, a tu i owdzie odzywały się pieśni.

Cała zresztą droga, wiodąca do zamku, była pełną przechadzających się i przejeżdżających, których pomijając i Samuel popędził pod dom swój i tu wywoławszy czeladź, konia swego oddawszy, a i Wojtaszkowego kazawszy mu odjąć dla bezpieczeństwa, sam wprost do podczaszego szedł, pewien, że go zastanie i że on na zamku nie urzęduje.

Jakoż odgadł: Krzychnik siedział nad listem, gdy Samuel wpadł i dwaj bracia na piersi się sobie rzucili. Ze strony przybywającego poryw ten był szczerym, bo wrażliwy i namiętny Samuel zawsze równie gotów był ściskać, jak bić; ze strony zaś Krzychnika rachubą ten uścisk pachniał, bo chciał sobie brata pozyskać, związać go, przyciągnąć, uczynić swym sługą. Jednego przecież chcieli oba...

— Aleś ty oszalał, Samku! — zawołał — żeby im

w ręce leźć dobrowolnie! Prędzejbym się był dziś spodziewał tu oglądać nie wiem kogo, niż ciebie!

— Widzisz, że mi na męstwie nie zbywa — odparł dumnie Samuel. — Chciałem widzieć w oczy żywe te ich triumfy, abym ku nim nienawiść w sobie rozżarzył i odżywił. Nasyciłem się też dobrze i nie żal mi tego!

Usiadł naprzeciw Krzychnika.

— Nocować tu nie myślę, — rzekł — bądź spokojnym; koń na mnie czeka, jadę! tylkom ciebie widzieć chciał i spytać — a co?

— Ja zaś ciebie i pytać nie potrzebuję, — rękę wyciągając, zawołał Krzychnik — my z tobą we dwu, — jedna dusza, jedna ręka. Podołamy i bez pomocy. Na Andrzeja rachować nie można; do gotowego przyjdzie, ale gotować nie będzie. Jan zaś ich człowiek jest, nie nasz. Poprzysiężmyż sobie na śmierć i życie, że im zgubę a pomstę rodowi naszemu zgotujemy!

Samuel podniósł rękę do góry.

— Przysięgam! — zawołał. — Przysięgam! Nie cofnę się!

— Ani ja, przysięgam! — krzyknął Krzychnik.

Wstał zaraz Samuel.

— Do Piekar muszę jeszcze tej nocy — rzekł i w czoło go pocałował. — Z Piekar kędy się obrócę, — do Złoczowa, do Kamienia, do Lwowa, nie wiem, ale dam znać. Śledź ich kroki... ja kanclerzowi sprawię przenosiny!

Rozśmiał się dziko.

— Zdrów mi bywaj!

Pocałowali się raz jeszcze, Krzychnik odprowadził go do progu, dalej nie śmiejąc. Samko wybiegł, na siodło skoczył, za Wojtaszkiem się obejrzał, cmoknął na konia i ruszyli do Piekar. Noc była rajska.

VI.

Po weselu zaraz król do Niepołomnic jechał dla spoczynku, skąd się miał znów do ulubionego udać Grodna, kędy pono pod ten czas działa lano; kanclerz zaś dla spraw różnych pozostał na zamku w Krakowie, skąd się wybierał z żoną do Knyszyna.

O Zborowskich całkiem jakoś ucichło, chociaż na rozjezdnem król przy zręczności, po kilkakroć powtórzył hetmanowi, że oni wszyscy zdrajce są, że przez nich się mnoży i utrwala opór u szlachty, że oni nienawiść sieją, nadali się okoliczność — surowo i bez litości przeciwko nim wystąpić potrzeba.

Krzychnik znikł z Franciszkańskiej ulicy, spiskując po kątach, a marszałek, choć dostawszy dwa tysiące jurgieltu, za przejednanego uchodził, równie zajadle w duszy przeciwko królowi powstawał, jak bracia. Ta tylko była pomiędzy nimi różnica, że on milczał i malował się, a oni, ustąpiwszy, knowali i nieprzyjaciół zbierali, króla czyniąc tyranem nieznośnym.

Kasztelan gnieźnieński niczego się nie domyślał i o niczem nie wiedział.

Samuelowi nie starczyło podżeganie, przygotowywanie się i jego powszednie zabawki, więc krążył ciągle niespokojny, zagrzać nigdzie miejsca nie mogąc, a często potajemnie do Włodkowej zajeżdżając, gdzie wesoło dni parę spędziwszy, szukał potem innych rozrywek.

Wszakże to jego snucie się po kraju, napozór niewinne, cel swój miało. Nigdy i nigdzie się nie pokazał Zborowski, żeby nie próbował ludzi sobie jednać do kupy przeciwko królowi i Zamojskiemu.

Ale mu się to teraz wcale nie powodziło. Wiedziano w kraju o tej wojnie, wypowiedzianej Batoremu przez Zborowskich, i o postanowieniu najsurowszego odwetu. Nikt się na zemstę narażać nie chciał! Surowemi słowy zbywali go ci nawet, co mieli powody do żalu i niechęć w sercu. Szczupłą bardzo mógł około

siebie zebrać gromadkę takich, jak Boksicki, nieznaczących ludzi, lub znanych warchołów.

Mało czyniąc tajemnicy z tych przejażdżek, często po miejskich gospodach publicznie głos podnosząc, a obrońców króla napadając i łżąc, — Zborowski więcej sobie szkodził, niż do przyszłej jakiejś roboty przygotowywał.

Z Krzychnikiem tymczasem trwała korespondencja, listy się mnożyły, a ów przebiegły podczaszy, pod wrażeniem bezsilnego gniewu, wywnętrzał się nieopatrznie. Nieopatrzniej jeszcze pan Samuel rzucał te listy, tak, że Wojtaszek wszystkie je mógł czytać i na wąs motał.

Leżały one w otwartej szufladzie, liczone wprawdzie, lecz wszystkim do nich zaglądać było można.

Z Wojtaszkiem, którego w myśli to zabijał, to żenił, Samuel wreszcie chciał uczynić koniec. Sprzykrzyła mu się Motrunka, choć piękna, a Anusia też nalegała u ojca o pozbycie się jej. Wojtaszka więc z nią połączyć, dać im albo ziemi kawał, albo jurgielt, śpiewaka we dworze zatrzymując, miał już mocne postanowienie.

Jednego też dnia, a było to znowu w Białym Kamieniu, przywoławszy do siebie lutnistę, oświadczył mu Samuel, że z Motrunką się miał ożenić, przyczem mu zagroził po swojemu:

— Jeżeli ci żywot miły!

Wojtaszek dumnie się rozśmiał.

— Żywot miły mi, jako i wam — odparł — i Motrunka podczas miła, ale żebym się miał żenić i nią świat sobie wiązać?...

— Musisz!

— Ho! ho! — odparł Wojtaszek. — Ja musu nie znam... Jam wolny człek, tak, jako i wy.

O mało za to porównanie nie porwał się do niego Samuel, ale ilekroć na Wojtaszka miał się rzucić, zawsze go coś wstrzymywało.

— Mówiłem ci raz, jeśli żywot miły! — powtórzył. — A ty wiesz, że ja nadaremno nie obiecuję.

Miejże rozum, do ślubu się gotuj! Nie było ci jej balamucić.

— Ja jej nie balamuciłem — zawołał lutnista. — Chyba ona mnie... a temu ja nie winien. Wojtaszek wyżej patrzy.

— Aby tylko jeszcze wyżej nie zawisł — rozśmiał się pan Samuel. — Jeżeli ufasz, że ja ci dla tego piania życie daruję, mylisz się. Już mnie ono do łez nie pobudza, już ja nie ten, a i twój śpiew teraz brzęczenia komara nie wart.

Wojtaszek, który dumnym był tym swoim głosem i kunsztem nadewszystko, rzucił się i wyszedł z izby. Samuel dał mu iść.

Braciszek Zapatelli miał tedy ślub dawać, chociaż księdzem nie był. Na pierwsze o to wezwanie Włoch się śmiać począł i odpowiedział, że nie jest kapłanem, ale że pomimo to ślub dać gotów, tylko on nie wart nie będzie.

— Co? dla takiego trutnia? — zawołał Zborowski. — Ho! ho! ślub twój jeszcze dla niego zanadto dobry. Ja mu będę księdza lepszego szukał? Habit nosisz! Do mnie katolicki ksiądz nie pójdzie żaden.

— Pewnie, kiedy dominikanom takie wyrządzasz despekta! — zaśmiał się Zapatelli. — No! no, mnie się widzi, że Wojtaszek do ślubu nie dostoi, a trzeba będzie go wiązać, ja mu ręce tak skrępuję, że krew tryśnie!

Włocha to bawiło, że mu ślub dawać kazano...

— Taki ślub! — myślał sobie. — A, czemu nie... Musi mi przecie za niego zapłacić, a jeszcze nie znam ani koloru jego pieniędzy, ni odoru!

Motrunka zapowiedziane ślubowiny wzięła za pewne i już uchwalone... pysznił się niemi! Ale gdy o nich mówić zaczęła i nalegać na Wojtaszka, o mało jej nie wybił. Poszła na skargę do Samuela.

— Już my go uchodzimy! — rzekł jej spokojnie.— Tylko mi się gotuj, — ja dzień naznaczę. Hajduków, gdy potrzeba, czterech go przyprowadzi i potrzyma. Zapatelli ręce wam zwiąże i pobłogosławi, a potem do łożnicy... i koniec.

W Wojtaszku, z którego cały dwór się wyśmiewał, mówiąc o tem weselu i prześladując go Motrunką, krew się gotowała ze złości. Spróbował raz jeszcze prosić Zborowskiego.

— Dajcie mi pokój z Motruną, ja was proszę i mówię wam, dajcie mi z nią pokój. Jam czegoś lepszego wart...

— Chyba szubienicy! — zakrzyknął Samuel. — Słyszałeś! Dziewczynęś uwiódł, była poczciwą, mnieś zdradził, musisz przypłacić.

— Nie pobudzajcie mnie do szaleństwa — rzekł lutnista.

Samuel zawrzał; nieposłuszeństwo to we wściekłość go wprawiało, rzucił się po raz pierwszy w życiu na Wojtaszka, pochwycił za suknię, w twarz uderzył, pod nogi cisnął i zdeptał.

Ledwie mu go służba z rąk wyrwała, boby go był na śmierć zakopał, a ludzie mieli rozkaz w podobnych wypadkach ofiarę precz odnosić, bo potem, ubiwszy, cierpiał długo. Pochwycono więc umęczonego straszliwie i słudzy ponieśli go na łóżku, gdzie wkrótce przybiegła Motrunka i już go nie odstąpiła.

Samuel ani się spytał, czy żyw. Dopiero w parę dni przypadkiem się dowiedział, że go smarują i pielęgnują. Żal mu się go nagle zrobiło. Poszedł do niego, siadł u łoża, ale Wojtaszek oczy spuścił i patrzeć na niego nie chciał; usta zamknął, nie odpowiadał. Cyrulik mówił, że jedno żebro miał zgruchotane, ale już się zrastało.

Lutnista powoli do sił powracał, ale milczał i nie mówił nic. Kilka razy sobie lutnię podać kazał, popatrzył na nią, wziął do rąk, i nim głos wydała, postawił. Zdrowie wracało, mógł już na łóżku siedzieć. Motrunka ciągle była przy nim; nie odpędzał jej, ale nie chciał mówić ani z nią, ani z nikim. Gdy w izbie nikogo nie było, wstawał ostrożnie, próbował się przechadzać, ręce wyciągał, w zwierciadle twarzy się swej przypatrywał. Powoli też, co miał lepszych rzeczy począł zbierać i do izby znosić, ale je pochował pod łóżko.

Z dworzany i służbą jak zawsze źle był, tak i teraz

pozostał. Nie miał nikt nad nim litości, bo on też z nikim się dawniej nie obchodził po ludzku, a każdego zrażał dumą i szyderstwem.

Jednego dnia, gdy Samuel po łowach spoczywał, wpadła do jego izby, łamiąc ręce, Motrunka.

— Wojtaszka niema! Albo się utopił, lub kto wie, co się z nim stało!

Na wołanie Zborowskiego zbiegła się służba.

Prawdą było, że Wojtaszek zniknął, ale nikt nie miał pojęcia, ani kiedy, ani jak się mógł wymknąć. Wierzchowca znowu najlepszego w stajni zabrakło i kulbaki z rzędem, a wiele rzeczy Wojtaszkowych w izbie się nie znalazło.

W kilka dni potem reszty niedopalone w lesie świadczyły, że je tam, uwieźć nie mogąc, zniszczył.

Motrunka zachorowała z rozpaczy, ale i pan Samuel nierad był, ani spokojny, choć pogardliwie powtarzał, iż mu lekko było, że się pozbył nieznośnego darmozjada.

Teraz nawet tęsknił już za jego śpiewem niekiedy. Ludzie, wysłani na zwiady do Złoczowa i do Lwowa, tyle tylko dojść mogli, że w istocie widziano go w mieście i na gościńcu, że nie zdawał się uchodzić, ani śpieszyć, lutnię dobywał i grał i śpiewał, a ludzie się mu przysłuchiwali i zachwycali.

Tknęło coś Zborowskiego, aby listy Krzychnika przejrzał, czy są wszystkie. Zdało mu się, że żadnego nie brakowało. Odetchnął.

Do Krakowa do braci i do Piekar dał znać, aby — jeżeli się gdzie Wojtaszek pokaże, łaskawie się z nim obeszli i zatrzymywać się go starali. Ale o lutniście nigdzie nie było słychać.

Tęsknił za nim i gwałtowność swą sobie wyrzucał trochę Zborowski; wreszcie potrosze zabył. Miał zawsze nadzieję, że ten zbieg powróci. Tymczasem słuchu o nim nie było.

Zajęła też Zborowskich sprawa z Zamojskim, bo do niej się teraz tak przyczepili gorąco, iż o wszystkiem innem zapomnieli.

Stanowczo napad na kanclerza był uchwalony. Nie kto inny miał go dokonać, tylko Samuel ze swoimi ludźmi, gotowymi za nim w ogień i w wodę. Liczba potrzebna już się dopełniała.

Posłano do Knyszyna wyśledzić na pewno, ilu, jakich, i jak zbrojnych ludzi zbierał z sobą hetman, gdy naprzykład z Zamchu lub Knyszyna udawał się do Krakowa.

Wysłany na zwiady Boksicki przywiózł bardzo szczegółową wiadomość, z czego się dwór składał, ilu było hajduków, czeladzi, wozów, kto dowodził, kto jechał u boku Zamojskiego. Wszystko to razem, chociaż na spokojny czas dosyć było pokaźne, nie przechodziło głów sześćdziesięciu, a Samuel tak swoim ufał, że w równej liczbie nie wahał się napaść, z tem tylko, aby siła na dwa oddziały była podzieloną i z dwu stron naskoczyła równocześnie.

W lesie, na drodze, albo na noclegu, niezbyt od Krakowa blisko, chciano napaść hetmana. A że zbieranie ludzi, dopełnianie dworu i cały ten zachód mógł zwracać oczy i budzić podejrzenia, puszczona była umyślnie pogłoska, którą wszędzie powtarzano, że Samuel, sprzykrzywszy sobie żywot banity w kraju, miał zamiar do Włoch na wieczne wyjechać czasy, syna dla nauk w Niemczech zostawując.

Głoszono też, że Krzychnik zapewne towarzyszyć mu będzie, widząc, że w kraju, oprócz prześladowania, nic się już Zborowscy spodziewać nie mogą. Zatem oba mieli pozostać za granicą i osiąść w Malcie, jako ludzie rycerscy dla walki z niewiernymi i t. p. Miała ta wieść pewne pozory prawdopodobieństwa, tak, że jej nieznający bliżej Zborowskich uwierzyć mogli.

Samuel z jednej strony tem się ubezpieczając, — z drugiej — jawnie ludzi ściągał, gromadę swoich hajduków powiększał, a po gościńcach i gospodach niemal otwarcie nieprzyjaciół króla i hetmana szukał, do siebie ich ściągając.

Mało kto wierzyć chciał, ażeby Zborowscy, w kraju

dając za wygraną, mieli poza granicami jego szczęśliwszych dla siebie wyczekiwać czasów.

Widywano Samuela, snującego się po gościńcach, zajeżdżającego do dworów, przesiadującego po miejskich gospodach całemi tygodniami i nie śpieszącego z wyjazdem tym do Włoch, o którym mówiono ciągle, a zawsze się on odwlekał. Dla baczniejszych jawnem to było, że upatruje i wyczekuje zręczności jakiejś, aby zamiar swój rozprawienia się z kanclerzem przyprowadzić do skutku.

Za Wojtaszkiem też kiedy niekiedy słano, śledząc, gdzieby on się znajdował i chwytano o nim wiadomości, że tam i owdzie po dworach, śpiewając i grając, zabawiał się, przenosząc z miejsca na miejsce.

Samuelowi, aczkolwiek w gotowości był i plan miał osnuty, nie tak łatwo przychodziło doprowadzić go do spełnienia, bo zawczasu nigdy wiedzieć nie mógł, kędy się uda hetman, gdzie i jak długo będzie przebywać. Czatować więc musiał, języka dostawać i ubezpieczać się, aby się na zbyt przeważną siłę nie rzucił, lub w takiem miejscu, gdzie pomoc rychła nadbiec mogła.

Rzeczy więc, choć obmyślane i postanowione, szły w odwłokę, a Samuelowi się to wielce przykrzyło, bo wolałby był więcej ważyć, a prędzej skończyć.

Wojtaszek zaś, zepsute chłopię, wiódł żywot nieszczęśliwy, opuściwszy Samuela, który dla niego nadto był pobłażającym, potem zbyt okrutnym, ale przecież dbał o niego i on coś znaczył przy nim — był mu potrzebnym!

Gdzie indziej zaś po małych dworach lutnista obudzał chwilową ciekawość, słuchano go chętnie, podziwiano, ale nigdzie na dłuższy czas lekkiego człeka nikt nie chciał zamawiać. Odprawiano go z małym podarkiem i trzeba było iść dalej. U panów a magnatów, którzy muzyki swoje mieli, nie zbywało i na śpiewakach, na cytrzystach i t. p., a nie znano się tak na muzyce, aby Wojtaszka odróżnić od innych i dać mu prym nad nimi.

Im dłużej więc trwała ta przymusowa włóczęga

Wojtaszkowa, tem mocniej żałował, że porzucił pana Samuela i nie potrafił się z nim zgodzić. Do żadnej innej pracy zepsute i rozprożnowane chłopię nie czuło się zdolnem. Umiał wprawdzie czytać i pisać, pieśni swe dla niektórych osób kaligrafował i sprzedawał, ale wszystko to na życie, do jakiego był nawykł, nie starczyło.

Chociaż, uchodząc z Kamienia, co mógł, w sakwy z sobą zabrał Wojtaszek, niewiele tego było, bo konia na długą podróż nie mógł obciążać. Tak więc lutnista markotny wielce, czas jakiś pokrążywszy po dworach, których panów znał z widzenia lub ze sławy, nigdzie stałego nie mogąc znaleźć pomieszczenia, bo, mimo biedy, wymagającym był, wysoko się cenił i żądał wiele, zawsze wkońcu do Lwowa powracał, kędy w przedniejszej gospodzie u Ormianina, Szeremiego, przesiadywać był zwykł. Tu zajmował maleńki alkierzyk, a dniami i wieczorami trzymał się w wielkiej wspólnej izbie gościnnej, z lutnią w ręku, pobrzękując na niej, nucąc potrosze, okazji czekając, aby go do śpiewu zaprosił kto taki, coby potem podarkiem mu się wywdzięczył.

Trafiali się tu możni przejeżdżający, bo gospoda Szeremiego była niemal jedyną, szczególniej dla tych, co na wschód dążyli; czasem i dzień, i dwa przyjmowany, pojony, karmiony, obdarzony Wojtaszek używał dobrego bytu, ale potem następowały chude dni długie, gdy w gospodzie pospolici tylko ludzie spoczywali, a lutnista za swój miły grosz musiał posiłać się i pragnienie gasić. A że u Samuela zmłodu do życia bardzo dostatniego był nawykły, lada czem się nie ograniczał, trzeba mu było przysmaków pańskich, wina i konfektów. Przykrzyło mu się więc to życie na łasce losu.

Ten i ów wprawdzie, głos jego posłyszawszy, obiecywał mu polecić go któremu z panów z Tarnowa, z Melsztyna i t. p., ale się na próżnych obietnicach kończyło.

Na dłuższe wycieczki po kraju nie stawało Wojtaszkowi ani pieniędzy, ani wytrwałości, bo rozpieszczony był, leniwy i często z rana, siadłszy z lutnią na kola-

nach na pościeli, brząkając i dumając, pół dnia strawił napróżno.

W godzinach, gdy przejeżdżający goście zwykli byli śniadać, lub wieczorami u gospodarskiego stołu w wielkiej izbie, zrzuciwszy pychę z serca, Wojtaszek przywdziewał najlepszą swą odzież włoską modą, brał lutnię i szedł tam, zboku się przysiadując na ławie, pobrzękując a podśpiewując.

Naówczas gospodarz, Szeremi, człek dobry, na zapytania gości opowiadał, jaki to był przedziwny śpiewak i lutnista, któremu równego i na królewskim dworze było poszukać.

Zaciekawieni podróżni dowiadywali się, iż tego wędrownego muzyka za mały podarek można było posłyszeć i poili go, karmili, albo obdarzali, — aby im śpiewał.

Ale się to nie każdego dnia trafiało — i na gości coraz nowych potrzebując tak pracować, Wojtaszek na swój los ciężko bolał. Więc się wymykał w świat z gospody, jeździł po dworach, a zażywszy niewczasu, powracał nazad do Szeremiego. Był tu bezpiecznym od Samuela, bo ten miał inną, włoską gospodę we Lwowie.

Jakie myśli chodziły po głowie nieszczęśliwego, łatwo zgadnąć. Rachował zawsze, że zdradzając Zborowskiego, zyska coś za to u króla. Do wykonania jednak przystąpić nie mógł, potrzebował, aby go ktoś polecił, ułatwił mu to. Na Franciszkańską ulicę, do Piekar nie śmiał się udać i za daleko mu było. Przeciągał więc pobyt we Lwowie, o dawnym panu tu i owdzie dostając języka.

Naostatek na coś się już ważyć musiał, bo mu coraz gorzej być zaczynało. W początkach konia z rzędzikiem, którego z Kamienia uprowadził, utrzymywał w gospodzie, aby zawsze go mieć, gdy wyjechać zechce; lecz okazało się, że trzymanie go na stajni w mieście niemal tyle kosztowało, co człowieka. Gdy więc bieda przycisnęła, musiał się postarać o to, aby wierzchowca

zbyć, co mu przy pierwszej zręczności Szeremi ułatwił, sam na tem zarabiając.

Pozostawszy pieszo, gnuśne chłopię już się prawie z miasta dalej wybrać nie mogło i pozostawało niewolnikiem przy gospodzie.

Ormianin też coraz się z nim poufalej obchodził, a mniej go szanował, gdy Wojtaszek miał się za bardzo wielkiego człowieka. Słyszał on po świecie o tem, co głośnem było, że Ciołek u króla Aleksandra głosem sobie i lutnią łaskę pozyskał i najwyższe dostojeństwa, że Grzegorz z Sanoka, niegdyś śpiewem w początku zdumiewając, do arcybiskupstwa się wznieść potrafił.

Jemu się też zdawało, że głos i kunszt do równych losów prawo mu dawały. W istocie jeden i drugi podziwiali wszyscy, ale oprócz pieśni i przygrywek nie umiał Wojtaszek nic, a tak dumą śmieszną i przesadzoną grzeszył, że nią wszystkich zrażał.

W czasie tego pobytu u Ormianina, do którego co przedniejsi ludzie zajeżdżać byli zwykli dla słynnej kuchni jego, a szczególniej dwór i urzędnicy królewscy, na Ruś posyłani, miał zręczność Wojtaszek wiele się dowiedzieć i nasłuchać. Nie zważano nań bardzo, gdy w kącie zasiadł i swobodnie rozpowiadano, co po świecie krążyło.

Sprawa Zborowskich nie jeden raz pobieżnie bywała wspomnianą, z czego się Wojtaszek mógł przekonać, że pilne oko na nich miano, podejrzewano, poszlaki spisku chwytano, ale dowodów jawnych nie miał nikt... On zaś daleko więcej wiedział, niż wszyscy i mógł łatwo naprowadzić na drogę. Lecz jak i do kogo było się z tem udać?

Osnuł już sobie, że sprzedając dawnego pana, mógł za to otrzymać miejsce lutnisty na dworze królewskim, bo choć Batory szczególnego zamiłowania w muzyce nie miał, trzymał ją przecie wedle dawnego obyczaju dla gości.

Zwolna Szeremi, rozmawiając z nim, dowiedział się całej jego historji i o tych nadziejach, jakie żywił. Nie lubił on Zborowskich, ani chciał ich oszczędzać, ale

znał ich zuchwalstwo i nieubłaganą mściwość; ostrzegł więc Wojtaszka, aby się wprzód dobrze zabezpieczył i opiekę sobie zapewnił, nimby przeciwko Samuelowi i Krzychnikowi wystąpił. Ormianinowi i o to też szło, aby dom jego na zemstę nie był narażony.

Ale już lutniście dalej czekać i ociągać się było trudno, postanowił więc przy pierwszej zręczności korzystać z niej. Pora była, gdyż zjadłszy konia z rzędzikiem, potrosze wyzbywał się sukien, które się zdawały zbyteczne. Wojtaszek już coraz musiał skromniej się posilać, a często wodą gasić pragnienie. Nawykłemu do zbytków u Samuela życie to stawało się nieznośnem.

Właśnie o tym czasie zaczęły były chodzić wieści groźne, że się Tatarowie zabierali wtargnąć na Podole, król więc i wojsko wysyłał, i ciągle tędy od niego jeździli z rozkazami jego urzędnicy i dowódcy. Z Tatarami bowiem, choć poselstwami kosztownemi trapili króla, które podejmować i obdarzać musiano, Batory nigdy pokoju pewnym być nie mógł. Ludzi różnych było tylu, iż choć kilku pokój obiecywało, zawsze ich jeszcze zostało dosyć, aby znienacka wtargnąć i w jassyr ludzi uprowadzić. Baczność na nich być musiała nieustanna.

Nie było też niemal dnia, żeby ktoś z Krakowa do wojska na kresy ku Dzikim Polom nie śpieszył, lub z doniesieniem od wojsk do króla nie jechał. Szło tylko o to Wojtaszkowi, kogo wybrać miał, aby mu się zwierzyć.

Wedle myśli swej, lutnista życzył Węgra, bo ci największe mieli zachowanie u króla, a żaden z nich nie miał powodu Zborowskich oszczędzać, — gdy między Polakami, choć przyjaznymi i wiernymi Batoremu, wielu się mogło znaleźć takich, co z różnych powodów na Zborowskich się porywać nie byli skłonni.

Z niecierpliwością wyczekując zręczności, Wojtaszek dosiadywał w izbie i badał nietylko postawę każdego przejeżdżającego, nie dość, że mu przysługiwał, ale szedł do stajen orszak zobaczyć, z ludźmi pogawę-

dzić. Wszystko to czynił tak zręcznie, odniechcenia, jak gdyby go tylko próżnowanie ku temu pobudzało.

Zaczynały już mu te czaty się przykrzyć, gdy jednego południa zajechał z kilkunastu ludzi konnych, średniego wieku mężczyzna, z którego rysów twarzy łatwo było można poznać węgierskie pochodzenie.

Tylu naówczas Węgrów ciągle wjeżdżało do Polski i po niej się kręciło, że ten typ był łatwym do rozróżnienia. Narodowy strój Węgrów, ich uzbrojenie i rzędy na konie ułatwiały tę diagnozę.

Wojtaszek miał oko bystre, zaraz więc w stajni obliczywszy konie, przypatrzywszy się ludziom, oceniwszy ich uzbrojenie, mógł się domyśleć, że jechał mąż jakiś znaczny, a zatem albo od króla wysłany, lub z królem w stosunkach będący.

Był to właśnie jakby zesłany dla niego człowiek, którego mógł życzyć sobie.

Z alkierza gospodyni, przez szparę we drzwiach mógł się lutnista przypatrzeć temu panu. Był to w istocie Węgier zamożny, wesołego oblicza, wyglądający niebardzo pańsko, więcej rycersko i jak urzędnik, — żywy, dobrej myśli, podśpiewujący sobie, — który ani na jadło, ani na napój nie żałował.

Oświadczył on gospodarzowi, iż choćby dalej tego dnia na Podole mógł ciągnąć, ale znalazłszy gospodę miłą, chce sobie u niego spocząć. Rozumie się, że Ormianin nie miał nic przeciwko temu.

Z łamanej mowy cudzoziemca, bo się polszczyzną, łaciną i niemczyzną sztukował, zmiarkował Wojtaszek, że nie od dziś musi być w Polsce, a co zatem szło, że zapewne przybył z królem i do jego dworu wojskowego lub cywilnego należał.

Tak długo wyczekawszy się na zręczność, lirnik postanowił spróbować szczęścia. Wdział na siebie ostatnie już włoskie ubranie czyste i wytworne, wziął odniechcenia lutnię w rękę, jakgdyby wcale o gościu nie wiedząc, wszedł śmiało do izby, gdzie na ławie miejsce zająwszy, nogę na nogę założył, począł brzdąkać na cytrze i nucić piosenki.

Wszystko to było obrachowane doskonale. Biegał po strunach lutni, jakgdyby nie wiedząc sam, co czyni, brzdąkając odniechcenia; śpiewał i urywał coraz nowe polskie i włoskie piosenki, ale gra i śpiew ów były na popis wybrane, aby dały wyobrażenie słuchaczowi o talencie grajka i śpiewaka.

Szło o to, czy ten, przed którym się tak wdzięczył, miał znajomość rzeczy i w niej upodobanie. Od tego zależało wszystko.

Podróżny, o którym mowa, był ów Cobar, co królowi na łowach towarzyszył, młody przyboczny Stefana, Węgier, razem z towarzyszem swym Zybergiem, używany ciągle do poufnych posłannictw, a właśnie teraz wyprawiony na Podole do tych wojsk, które się tam przeciwko Tatarom zbierały, z rozkazami.

Szczęściem osobliwem dla Wojtaszka, Cobar nietylko lubił muzykę, ale się na niej znał dobrze, a był znużony, znudzony, więc na pierwszy dźwięk lutni obudził się, ożywił, a posłyszawszy urywek śpiewu, stanął zachwycony.

Chociaż Wojtaszek, ze spuszczoną głową wcale na niego patrzeć się nie zdawał, najmniejszy ruch i oznaka wrażenia — baczności jego nie uszły. Dodały mu one śmiałości; z powagą pewnego siebie kunsztmistrza rozsiadł się wygodnie, położył lutnię, ziewnął, wziął ją napowrót, począł próbować strun i palców, dokazywać sztuk różnych, i ciągle udając, że Cobara ani widzi, ani o nim wie, dla samego siebie począł nucić.

Mówiliśmy, jak pięknie, gdy chciał, śpiewał, jak głosem i wyrazem pieśni umiał trafiać do serca, więc tu, gdy szło o los własny, gdy potrzeba było wywrzeć wrażenie, zachwycić, ująć sobie słuchacza, zażył całej swej umiejętności.

Cobar, jak przykuty w tem miejscu, gdzie go pieśń zastała, stał, poruszyć nie śmiejąc się.

Wojtaszek opiewał serca swojego tęsknice w bardzo wdzięcznej kanconie, którą sam był nieosobliwie z włoskiego przełożył. Wiersz był słaby, ale muzyka prześliczna, a głos i wykonanie zachwycające.

Gdy już tę strunę poruszył, zaczął z drugiej próbować; lutnię otarł, włosy utrefione poprawił i odniechcenia znowu wesołą, a swawolną jakąś piosenkę dobył z piersi. Dwa te śpiewy stanowiły sprzeczność, różniły się od siebie nadzwyczajnie, ale to podnosiło wrażenie, jakie czyniły.

Cobar, który czasem na dworze królewskim słyszał lutnistów tuzinkowych, którzy trzymani byli dla formy i dla gości, a wcale się nie mogli pochwalić, aby celowali talentami, spragniony czegoś lepszego, niesłychanie był rad trafowi. Obawiając się, aby mu nie uszedł grajek i pieśniarz, z którego pomocą mógł bardzo przyjemnie wieczór przepędzić, zbliżył się do niego i pozdrowiwszy, chwalić począł talent jego.

Skromnie i milcząco przyjął te pochwały Wojtaszek i śmielej tylko popisywał się dalej, nie skąpiąc ni głosu, ni palców. Cobar też nie skąpił pochwał, usiadł naprzeciwko i dawał znaki nadzwyczajnego rozradowania śpiewem. Przyniósł mu wina przedniego kubek, który Wojtaszek przyjął.

Zwolna zawiązała się rozmowa.

— Takiego lutnisty tu w Polsce i ze świecą szukając, nie znaleźć — odezwał się Węgier. — Jakże to może być, abyś waćpan nie miał miejsca stałego i tak się błąkał?

— Przepraszam miłość waszą, — odparł Wojtaszek — ja bo niby miejsce przy pewnym dworze mam, i tylko teraz, chwilowo...

— U kogóż wasza mość jesteś? Kto jest tak szczęśliwy, iż tak doskonałego pozyskał sobie lutnistę?

— Zostaję przy panu Samuelu Zborowskim — odparł wyraziście Wojtaszek.

Dosyć było Cobarowi usłyszeć to imię, aby mu muzyka i śpiewak z głowy precz poszły, a sprawa pańska zapukała do serca. Trafiła się doskonała zręczność wybadania sługi Zborowskich, właśnie pod ten czas, gdy najwięcej mówiono o ich zamiarach, o knowaniach, a podróż Samuela na Niż dawała powód do pogłoski, że on się tam chciał hetmanem ogłosić.

Cobar wcale się nie spodziewał, na kogo trafił, a śpiewak wydał mu się doskonałym do tego, aby z niego, co zechce, wyciągnąć. Nie pokazał po sobie, ażeby go to nazwisko miało poruszyć.

— Pan Samuel? — odparł. — A gdzież on się teraz znajduje... powiadano, że go tu w kraju nie było?

— Nie było go, ale powrócił — rzekł Wojtaszek. — Niedaleko stąd nawet jest w gościnie.

Węgier głową potrząsnął.

— Toć pewno niedarmo — rzekł — kręci się tu, bo o Tatarach słychać, ino ich nie widać... nikt tu teraz bezpiecznym nie jest.

Gdy zagajona w ten sposób rozmowa tak odrazu bez przygotowania padła na pana Samuela, Wojtaszek nie miał czasu się rozmyśleć, co pocznie: będzie li udawał wiernego sługę, czy odrazu, z serca zrzuciwszy brzemię, ma się przyznać Cobarowi ze swą nienawiścią, ucieczką... położenie mu swoje odkryć jawnie?

Gdy Węgier, czekając na odpowiedź, zbliżył się do lutnisty, spotkał jego oczy wlepione w siebie i taki wyraz walki na twarzy, iż łatwo mógł wnieść, że śpiewak wahał się odkryć, a miał coś do odkrycia.

Powtórzył więc zapytanie.

— A no mówcie śmiało, co tu pan Samuel porabia? Bo juści chyba z Tatarami nie trzyma?

Wojtaszkowi serce w piersi zakołatało.

— Teraz lub nigdy, — rzekł sobie — rzecz dawno postanowiona! Niema co go oszczędzać, zbója tego i zdrajcę! Niech za to pokutuje, co przez całe życie broił.

VII.

Wstał z ławy Wojtaszek i choć już mocne postanowienie miał, potem mu się czoło okryło, głos zadrżał w piersi, gdy mówić zaczął.

— Sługą jestem Zborowskiego,—rzekł—ale i mnie już nadojadło patrzeć i słuchać, co się tam u niego i z nim dzieje. Mówcie, czy z Tatry nie ma zmowy?

A kto może za to ręczyć? Onby z djabłem sojusz zawarł, ażeby mu do tego dopomógł, co on chce.

Cobar uszy nastawił i zbliżył się.

— A czegoż on tak chce? — zapytał.

— Albo to wy i cały świat nie wie? — zawołał, uśmiechając się złośliwie. Wojtaszek i zamilkł.

A po chwili zamruczał.

— Oj! knują się tam, knują i kują u panów Zborowskich niedobre rzeczy!

Ciężko mu przychodziło tak odrazu ze wszystkiem się wygadać; może też obrachował, że nie zawadzi się podróżyć i począł śpiewać.

Cobar, wysłuchawszy jednej strofy piosenki, przerwał niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej.

— Jak mi Bóg miły, — zawołał — żal mi was dla Zborowskich! Wybyście łatwo mogli znaleźć doskonałe miejsce na królewskim dworze. Głos macie śliczny, a i muzykant z was niepośledni.

— Ja bo od dzieciństwa się w tem ćwiczę, — rzekł Wojtaszek — alem popadł w takie ręce, że się z nich wyzwolić trudno.

Węgier coraz bardziej uradowany, nie rzucając już tej zdobyczy, nalał mu co prędzej kubek wina, przepił do niego, dobył czerwony złoty węgierski z kieszeni i wsunąwszy mu w rękę, znowu rozmowę ostrożną zawiązał o Samuelu.

Wojtaszek pił i coraz bardziej się ośmielał.

Po dwu pierwszych kubkach wprędce trzeci znalazł się pełnym, a Węgier począł mówić, próbując lutnistę.

— Ja tam nie wiem, co o Zborowskich trzymać, a szczególniej o waszym panu Samuelu. Ma nieprzyjaciół, żgają na niego, że na króla nastaje, że mu jest wrogiem, a to przez kanclerza wszystko. — Gdyby pan Samuel, zamiast wojnę prowadzić z Zamojskim, udał się śmiało pod opiekę króla, przeciw niemu, lepiejby na tem wyszedł pewnie.

Spoglądał, mówiąc to, na Wojtaszka, który, wciąż pot ocierając z czoła, wzdychając, jakby się męczył i z sobą walczył, po słówku z ust dobywał.

Wreszcie, dobrawszy chwilę, gdy się Cobar zatrzymał nieco, jakby czekał na odpowiedź, coraz to wyraźniej począł się zdradzać z tem, co myślał.

— Miłościwy panie, — odezwał się do Cobara — ciężka to rzecz sługą być, gdy to, co pan czyni, człekowi na sumieniu ciąży, a tu nie wiedzieć, co wybierać: albo zdrajcą być, albo drugich, niewinnych na zdradę narazić. Chciałoby mi się z onej służby uwolnić z czystem sumieniem.

— A czyż nie jesteś człek wolny? — spytał Węgier.

— I owszem, jestem nim, — rzekł Wojtaszek — ale lat tyle wisząc przy dworze, człek się przywiązał, a dłużej na żaden tu sposób nie można trwać, bo uszy więdną słuchać, a zgroza bierze patrzeć, co tam radzą i do czego się sposobią. — A! nie, nie! Bodaj z głodu umrzeć, a dłużej na tej służbie trwać nie myślę! — dokończył.

Gdy się Węgrowi tak szczęśliwie powiodło, co prawdę rzekłszy, więcej winu, obficie nalewanemu przypisywał, niż własnej zręczności w badaniu — nie chciał zaniedbać tak dziwnie pochwyconego wątku. Posadził tedy Wojtaszka na ławie obok siebie, parę pieśni mu dał jeszcze odśpiewać, raczył go ciągle węgierskiem winem i wkońcu zupełnie podchmielił.

Lutnista się całkiem otworzył przed nim.

— Ja o wszystkiem wiem — rzekł — na wszystko patrzałem i słuchałem... nie miał dla mnie tajemnic pan Samuel, mogę wskazać, co oni z bratem Krzychnikiem knują... ale głowę mi za to wezmą, gdy mieć obrońcy nie będę!

— Jakto, nie będziesz miał obrońcy? — krzyknął Cobar. — Ja ci słowo daję, — król weźmie cię na dwór, da ci miejsce u siebie, między swymi cytrzystami! Ja w tem! Włos ci z głowy nie spadnie, tylko trzeba, żebyś otwartym był, powiedział wszystko, wskazał, aby można było winowajców ścigać, a króla od ich zbrodniczych zamachów uchronić.

Wojtaszek, już dobrze podpiły, uderzył się w piersi.

— Jak Bóg miły! Powiem wszystko, odkryję! —

zawołał — byleście się mną zaopiekowali. Dosyć już gorzkiego ich chleba jadłem!

Miał w istocie ochotę wielką wynurzać się i opowiadać zaraz, ale językiem już nie władał, bełkotał i nietylko śpiewać, ale i mówić nie mógł.

Po pijanemu zeznanie na nicby się nie było przydało, Cobar to zaraz rozważył.

Wprawdzie nazajutrz miał jechać w dalszą drogę, ale sprawa była zbyt wielkiej wagi, ażeby dla niej nie opóźnić się bodaj. Szło o życie króla, z czem się nie taił Wojtaszek. Każde słowo miało znaczenie ogromne. Musiał wybadać tego przez opatrzność nastręczonego śpiewaka, dobyć z niego, co tylko wiedział.

Dokonanie, rad nierad, Węgier musiał do dnia następnego odłożyć, a znowu na myśl mu przychodziło, że Wojtaszek, wytrzeźwiwszy się, ulęknąć się może zemsty Samuela, ujść mu z rąk, zmienić usposobienie.

Począł więc od tego, iż go sobie ujął najuroczystszem przyrzeczeniem jurgieltu, miłości króla i opieki, bezpieczeństwa na wszelki raz, byle mu, nic nie tając, odkrył, co tylko wiedział i słyszał.

— Dobrze — rzekł Wojtaszek zmęczony i napojem zwyciężony. — Ale, miłościwy panie, po tem winie, com je wypił, chyba dziś myśli nie zbiorę i nie potrafię całej sprawy wyłuszczyć. Więc jutro...

— Jutro! — pochwycił niespokojny Cobar. — No cóż robić, niechaj będzie jutro, tylko że ja mam tyle ważnych rzeczy na głowie; gotówem zapomnieć. Wiesz co...

Tu dobył pugilaresu i ołówka z kieszeni.

— Mam zwyczaj zapisywać naprzód, co którego dnia jest do zrobienia; zanotuj mi tu, że jutro, co wiesz o Zborowskich, masz mi wszystko porządnie opowiedzieć.

Wojtaszek się bynajmniej nie zawahał i najwyraźniej się rozpisał, że jutro o zamiarach panów Zborowskich przeciwko królowi szeroko i dokładnie Cobara uwiadomi.

Notatkę do kieszeni schowawszy, Węgier z miną ni-

by obojętną kazał słudze swojemu odprowadzić do jego izby lutnistę, rozebrać go i położyć, a sam, drżąc z niepokoju i niecierpliwości, pozostał w izbie dla przygotowania się na jutro.

Znając już potrosze ptaszka, którego przyłapał, Cobar wiedział, co miał czynić, aby rzecz do dobrego doprowadzić końca. Nie wątpił, że król i Zamojski bardzo mu za to odkrycie wdzięcznymi będą.

Ponieważ Zyberg czekał nazajutrz na towarzysza, z nim mając ciągnąć dalej, ażeby go to opóźnienie w pochodzie nie strzymało, siadł naprzód listy pisać, donosząc Zybergowi, aby dalej szedł sam w imię Boże, gdyż jemu się tu nadarzyła zręczność jedyna wykrycia zamachów przeciwko królowi, której zaniechać na żaden sposób nie godziło się. Z listem tym natychmiast gońca umyślnego wyprawił.

Potem przywołać kazał kucharza swego i zalecił mu, aby nazajutrz rano wytworne sporządził śniadanie, postarał się o malmazje, o wina, o przyprawy i wyprawił bankiet, na jaki się mógł tylko zdobyć.

Nie dosyć na tem, bojąc się, aby to śniadanie nie starczyło na dosyć długo, zawołał jeszcze gospodarza i przykazał mu zosobna; także co mógł najsmaczniejszego przyprawić, nie zważając na to, co kucharz warzyć będzie.

— Nie pytaj mnie, naco się to wszystko zdało — rzekł — rób, co każę, zapłacę, jak należy, bez targu. Wolnoć mi fantazję mieć, jako i drugim.

Rachował na to, z czem mu się Wojtaszek po pijanemu wygadał, — że był wygłodzony, zbiedzony długą włóczęgą i że dobre jadło, dobre wino, doda mu odwagi i usta otworzy.

Cobar daleko więcej kunsztu zażywał, biorąc się do lutnisty, niż go tu było potrzeba, bo Wojtaszek i dla zemsty, i dla chęci podźwignięcia się na wszystko już był gotów i ani myślał się cofać.

Węgier, ledwie z niecierpliwości usnąwszy nieco nadedniem, rychło wstał, czekając na Wojtaszka, który po winie kamiennym snem spał bardzo długo i nie-

rychło blady, zmęczony, strwożony ukazał się Cobarowi, już na niego oczekującemu w izbie u zastawionego suto stołu. Ptasiego mleka tylko brakowało.

Węgier odgrywał komedję, że mu nadzwyczaj było pilno, że musiał zaraz dalej ciągnąć. Dla niepoznaki nawet część swych wozów i ludzi wyprawił niby przodem, przykazawszy im, aby w miejscu oznaczonem czekali, a sam zasiadł z Wojtaszkiem do stołu.

Zaczęło się od traktamentu własnego kucharza, Węgra... i już ten się zbliżał do końca, gdy Ormianin gospodarz wszedł, żaląc się, że on też, nie wiedząc o niczem, śniadanie pańskie sporządził, że jemu przysługiwało prawo swych gości żywić.

— A! bodajcież, bodajcież! — zerwał się Węgier. — Ja czasu nie mam! Poco mi to twoje śniadanie? — my go jeść nie będziemy.

Wtem jakby się rozmyślił nagle, spojrzawszy na Wojtaszka, zawołał:

— Ha! pal cię djabli, kiedy już gotowe — coś miał dać, przynosić każ, a żywo. Szkoda wyrzucać za okno!

— Po pieczeni palce sobie oblizywać będziecie! — rzekł Ormianin.

Na nowo tedy siedli jeść, przyczem Cobar, nie przestając, nalewał. Wśród jedzenia i popijania Węgier zażądał pieśni; Wojtaszek począł najlepszym swym głosem nucić, że w istocie słuchać było czego.

— Wam bo nie gdzie indziej, tylko u króla na pokojach pieśni zawodzić — wykrzyknął zachwycony Węgier i dobywszy mieszka, kilka węgierskich dukatów na przypieczętowanie słów swoich mu ofiarował.

Wojtaszkowi dusza się radowała.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Alem ja na usługi króla gotów sercem całem... ino rozkazujcie, jam wasz!...

Tymczasem o wczorajszem ani słowa, jakby Cobar zapomniał o tem i nie myślał.

— Daję wam słowo, — rzekł — miejsce przy dworze z jurgieltem jakbyście w ręku mieli! Ale mnie pilno!

Jechać muszę! Godzina późna! Wołać gospodarza... Dawaj rachunek, zbójco!

Rachunek tedy z Ormianinem czynić mając, sięgnął Cobar do kieszeni, pugilaresik wczorajszy dobył i począł go przeglądać.

— Ah! — zawołał nagle, ukazując Wojtaszkowi jego notatkę. — Na śmierć o tem zapomniałem... Czytajże, coś mi to wczoraj napisał? Miałeś mi opowiedzieć jakąś historję o Zborowskich, dla króla jegomości ważną?

Tego Wojtaszkowi potrzeba było; czekał tylko i trwożył się, czy Cobar nie puści sprawy w zapomnienie.

— Gotówem, — odparł natychmiast — gotówem słowa dotrzymać, ale ja, miłościwy panie, nie mniej, nie więcej, tylko głowę moją ważę, bo sprawa z panem Samuelem a z szatanem lub oprawcą, wszystko jedno! Nie gubcie mnie, jeżeli nie macie mocy ani uczynić, co mi obiecujecie, ani mnie od okrutnej pomsty obronić! Widzę ja wprawdzie, że możnym jesteście, ale mało na tem... nie wiem, czy do króla przystęp macie i czy mi wyrobicie, coście przyrzekli?

— Masz na to rękę moją — odparł Cobar. — Słuszna rzecz, że się lada komu nie chcecie zwierzyć. Ja się zowię Cobar, mogliście słyszeć o mnie, bo przy osobie króla stoję, mam jego zaufanie i teraz oto z panem Zybergiem do wojska na Podole jestem wysłany. — Ufa mi pan mój, możesz i ty mnie zawierzyć! Mów śmiało, ale prawdę: ja za łaskę królewską ręczę, bo jak srogim jest nieprzyjaciołom swoim, tak dla wiernych umie być łaskawym.

Wojtaszek w ramię go pocałował.

— Miłościwy panie, — odparł — nic wam nie zataję. Panowie Zborowscy, szczególniej dwaj, dawny pan mój, Samuel i pan podczaszy Krzychnik, naposiedli się, aby króla trucizną zgładzić a hetmanowi zasadzkę gotują, z której żyw nie wynijdzie. Każdy krok jego śledzą i wiedzą... Ale to jakbym na wiatr mówił; azali mnie małemu człowiekowi uwierzycie, rzecz dla was

wątpliwa będzie zawsze! A ja chcę pokazać czarno na białem, dowodnie, że niedarmo mówię to przeciwko nim.

— Jakim sposobem? — przerwał Cobar zdumiony.

— Wykradnę i przyniosę wam listy, które pan Krzychnik do Samuela pisywał i pisze — rzekł Wojtaszek. — W listach tych wszystko stoi... będziecie je widzieli *in originali:* tam i o truciźnie mowa, i o obmyślonej napaści.

Zdumiał się nadzwyczajnie Węgier, ale zarazem uradował.

— Jakim sposobem myślicie dostać tych listów?— zapytał.

— Będę głowę ważył, — odparł Wojtaszek — bo sądzę, że przecie mnie za to nie opuścicie i nie wydacie oprawcy. Wprost pojadę tam, gdzie wiem, że listy są i da li Bóg, to je pochwycę i przywiozę.

— Jeśli się pan Samuel zawczasu opatrzy, — dodał — żem listy skradł i pogoni za mną, wy listów się pozbędziecie, a ja życia, bo jemu człowieka zabić — jak drugiemu wróbla.

— Czegóż więc chcesz? — zapytał Cobar.

— Pojadę sam, — odparł Wojtaszek — bo inaczej nie może być. Zastanę go czy nie, — listy tam są. Może mnie godzin jakich kilka strzyma, ale w powrocie trzeba, abym miał o kogo się oprzeć, bo uchowaj Boże... nagna mnie...

— Koni pięć, albo sześć — rzekł Węgier, namyśliwszy się — mogą ci towarzyszyć. Dam ludzi najlepszych, pokierujesz nimi, jako sam chcesz, ale nie baw się, bo ja też czasu nie mam, a to sprawa taka, że jej na półmiski rozkładać niezdrowo.

— Będziecie czekali we Lwowie? — zawołał Wojtaszek.

— Co robić! muszę! — rzekł Cobar. — Gdy o życie króla idzie, wszystkie inne sprawy, by najlepsze, na bok ustąpić muszą. Jedź, a powracaj...

Węgrowi niebardzo może się chciało na Zyberga dowództwo zdawać i zamiast na wojnę iść, siedzieć bez-

czynnemu w gospodzie, lecz rzecz była, jak naówczas mówiono, gardłowa.

Wojtaszek mało czasu miał do rozmyślania się, wiedział z doświadczenia jedno: — Samuel go potrzebował, a im dłużej go był pozbawiony, tem więcej za nim tęsknił i do łaski zawsze, nałajawszy i nagroziwszy, przypuścić był gotów. Na to więc rachował na pewno.

Nie mógł przypuścić, aby mu w duszy czytał pragnienie zemsty i napół już dokonaną zdradę. Sumienie bynajmniej nie dokuczało lutniście. Wyliczał wszystkie męczarnie, jakie ponosił od dzieciństwa, znęcanie się, szyderstwa; wiedział o wszystkich zbrodniach swego pana i wyobrażał sobie, iż Bóg go za narzędzie kary wybrał sobie.

Jeśli go na chwilę litość objęła, wnet sobie przypominał, co cierpiał.

— Nie daruję, — powtarzał — niech łotr i zbój ginie.

— Ojciec pięknej Anusi! — śmiał się gorzko — a tak? A ona lepsza od niego? Onaby mnie na pal dała wbić i chodziła patrzeć, śmiejąc się, jak będę konał, alboby za żebro na haku powiesić kazała i napawała się jękiem, wołając, abym śpiewał! Znam ci ją i wiem, co się w jej sercu dzieje! Nie przebaczy mi nigdy, żem ją, nocą napadłszy, wyściskał; — obronić mi się nie mogła, a skarżyć się wstydziła. Teraz mi w oczy spojrzeć nie śmie, gdy ja jej śmiało patrzę. Jaszczurka! A wprzódy mnie tym wzrokiem wabiła i kłamała... a płakała, gdym śpiewał!

Tyle razy już Wojtaszek z panem zrywał i wodził się, wychodził z pod jego obcasów kutych zbity i poraniony, a potem do łask powracał. Zdawało mu się, że i teraz, gdy się pokaże, ukorzy, do nóg schyli, zaśpiewa, wszystko znów pójdzie w zapomnienie.

Szło tylko o to, jak zastanie Samuela, na pijaństwie, czy na pokucie, na zgryzotach, czy szalejącego? Z dwojga złego wolał go przy stole i po pijanemu widzieć, niż borykającego się z sumieniem. Nie wiedział nawet, czy był w Białym Kamieniu. Gdyby go nie zastał,

mógł Boksicki, lub który inny zasadzić go do czabanki.

Na pół drogi porzuciwszy swoich towarzyszów, których w małej gospodzie pod lasem umieścił, polecając im, aby konie mieli każdego czasu gotowe i gdyby przybył, zaraz z nim dalej pędzić mogli, Wojtaszek sam pod wieczór umyślnie się opóźnił do dworu.

Pomyślał sobie, że najbezpieczniej może będzie podkraść się niespostrzeżonemu. W częstokole, który otaczał dwór, znał miejsce, gdzie było łatwo wyjąć koły i weisnąć się do środka. Mógł więc, bo psy na niego ujadać nie ważyły się, pocichu pode dwór się wkraść, do okna Motruny zapukać i u niej się ukryć. Ona mu usłużyć musiała, tego był pewnym.

Tak też uczynił. Konia spętanego puścił na łączkę, siodło i rząd przychował w dole, o którym wiedział, że go tylko lisy znały, a sam już o gęstym zmroku znalazł się pod opasującym dwór częstokołem.

W domostwie było jasno i gwarno, co dowodziło pana w domu, a gwar o tej porze znaczył, że u stołu pił i zabawiał się. Wszystko się tam naówczas około niego skupiało. Mógł więc Wojtaszek próbować pójść pod dobrze sobie znane okno Motrunki. Tu także światełko płonęło.

Miał z nią znak dawniej umówiony, że trzy razy po dwa pukał. W okiennice więc, zbliżywszy się, zaczął wedle zwyczaju stukać.

Wewnątrz długo nic się nie odzywało. Powtórzył pukanie raz, drugi i trzeci. Zaszeleściało coś trwożliwie, okno się otworzyło. Wyjrzała blada, wynędzniała twarz schorzałej Motrunki, obwinięta rąbkiem.

Wojtaszek dał znak, aby wyszła.

W chwilę potem siedzieli razem pod szopką pustą — dziewczyna zapłakana ze strachu, Wojtaszek zły i niecierpliwy. Najprzód chciał wiedzieć, co się z panem działo i czy mógł mu się na oczy pokazać.

— Broń cię Boże, jeżeli ci życie miłe! — odpowiedziała Motrunka. — Samam słyszała, gdy niedawno jeszcze powtarzał: Siłam mu przebaczył, a no — prze-

brał miarę! Dostanę li go, — skórę z niego zedrzeć każę żywcem, końmi go dam roztargać! Jak zginie, to mi przestanie dokuczać; ten jego śpiew, który mi w uszach brzmi, chodzi za mną we dnie i w nocy i nie daje spokoju.

Wojtaszek się zadumał.

— Małoż to on razy tak się odgrażał? — odparł. — Przecieżem żyw dotąd.

Dziewczyna mu się na szyję rzuciła, błagając, aby nie próbował. Opowiadała, że pan Samuel po całych dniach chodził struty, sam do siebie mówiąc, pięścią w piersi się tłukąc, podczas włosy sobie rwąc z głowy.

— A no, przecież biesiaduje i słychać z biesiadnej izby śmiechy i wrzawę, jak za najlepszych czasów — przerwał Wojtaszek.

— Boksicki z innymi próbują go czemś zabawić— odparła Motrunka. — Przebrali Włocha księdza za kobietę i dziwy z nią dokazują; alem widziała przez drzwi, że siedzi, rękami sobie twarz zasłoniwszy, i ani patrzy, ani słucha. Wara teraz temu, na kogo się porwie, bo mu kości pogruchocze.

Zadumał się Wojtaszek. Chciał właśnie nagle się ukazać w tej chwili zatęsknienia, ale dziewczyna mu się do nóg rzuciła, prosząc, aby poczekał do jutra.

Gdzie się było przechować do rana? Wojtaszek nie miał, oprócz niej, żywej duszy przyjaznej sobie we dworze, i wiedział, że każdyby go był rad zgubić. Nikomu się więc zwierzyć, nikogo o pomoc prosić nie mógł, a gdyby go kto spostrzegł, był pewnym, że natychmiast wyda, dodając jeszcze, iż zamierzał zasadzkę na Samuela.

Niebezpieczeństwo było wielkie, bo i około pięknej Motrunki kręciło się dużo dworaków, zazdroszcząc sobie, każdy jej krok podpatrując; mogli też, szukając jej, trafić na Wojtaszka.

Noc nadchodziła, a w izbie jadalnej ciągle jeszcze taż sama panowała wrzawa. Wojtaszkowi nie chodziło o to, aby się do Samuela dostał, byle mógł przekraść się do tej szuflady, w której składał papiery, i gdzie

się na pewno spodziewał znaleźć listy Krzychnika. Stół, w którym ona była, stał w sypialni Samuela, nieopodal od jego łoża.

Jeden był tylko sposób wykradzenia pism tych, pod niebytność Zborowskiego, lub gdy spał. Sen miał Samuel twardy i rzadko go nawet światło i hałas mógł obudzić, gdy raz oczy zamknął. Lecz potrzeba było odwagi niezwykłej, by korzystać z takiej chwili, przyczem światło było koniecznie potrzebne, bo papierów leżało dosyć, a Wojtaszek wszystkich z sobą zabierać nie mógł.

— Nazajutrz, — mówiła Motrunka, zapowiedziane były łowy z sieciami i dodnia wszyscy na nie mieli wyciągnąć. Czekać na to? Wojtaszkowi pilno było, bo Cobarowi ludzie i on sam wyglądali jego powrotu.

Wstał nagle lutnista, nie zważając na obejmującą go rękami i usiłującą wstrzymać dziewczynę, pomyślał małą chwilę i odepchnąwszy ją, śmiałym krokiem poszedł wprost ku drzwiom jadalni, otworzył je nagle i stanął wprost naprzeciwko Samuela.

Wszyscy, którzy go spostrzegli, wiedząc o strasznym gniewie pańskim, krzyknęli ze zdziwienia i przestrachu. Zborowski, posłyszawszy krzyk, podniósł głowę... zobaczył stojącego Wojtaszka i osłupiał!

Stół biesiadny osobliwy przedstawiał widok. Główną rolę przy nim odgrywał stary, pijany mocno, śmiejący się głupkowato Włoch-mnich, przebrany za kobietę, z głową zawiązaną namitką, na której nałożono wianuszek, łącząc z sobą dwa godła zupełnie różne: dziewiczą wiązankę kwiatów i zasłonę zamężnych niewiast. Dokoła mnicha, który wykrzywiał usta i wdzięczył się do otaczających, stała młodzież, skubiąc go, oblewając, szturgając i nie dając pokoju.

Anusi przy stole dawno nie było. Dworzanie i czeladź, a nawet proste hajduki zmieszani razem, jak lalką bawili się tą maszkarą, a śmiechy rozlegały się dokoła.

Na stole w wielkim nieładzie stała siła opróżnio-

nych dzbanów, powywracanych kubków, porozlewanego wina i miodu, opróżnionych mis.

Samuel, zobaczywszy Wojtaszka, chociaż u boku ani szabli, ani noża nie miał, bo siedział rozpasany i upojony, porwał się oburącz naprzód, szukając żelaza. Wstał, zachwiał się na nogach i padł na siedzenie, gdy tymczasem dwór jego rzucił się cały od przebranego mnicha ku drzwiom na Wojtaszka i objął go kolem.

Jakiś czas pan i sługa mierzyli się oczyma. Zborowskiemu usta drgały, oczy czarne zataczały się groźno, to na śpiewaku spoczywając, to odwracając się od niego ze wstrętem. Walczył z sobą, co począć ma i na ustach błąkał się już rozkaz.

— Wziąć go i w dyby zakuć!

Ale ani Samuel sam, ani nikt nigdy nie mógł przewidzieć, co pocznie, tak zmienne uczucia zkolei nad nim panowały, a najsilniejsze brało przewagę.

W chwili, gdy wyrzec miał — zakuć go w dyby — a ten wyrok byłby go rozjuszył i poprowadził dalej, aż do wyroku śmierci może, Wojtaszek się poruszył, przebił przez tłum, zaszedł zboku i tu miejsce zabrawszy, głosem śmiałym i donośnym zanucił ulubioną Samkowi pieśń, której on słuchając, zawsze płakał.

O! wy moje lata młode!

Zborowski pobladł i widać było, jak w nim zburzone namiętności, jak podcięte nagle, ustąpiły rozrzewnieniu. I to się przyczyniło do wrażenia, że pieśń ta dawno w nim grała, a słyszeć jej nie mógł.

Jak złamany pochylił się Samuel, a ośmielony lutnista, głos coraz podnosząc, strojąc go na najczulszą nutę, nietylko pana, ale wszystkich słuchaczów oczarował. Ci, co go niedawno rozszarpać chcieli i gotowi się byli rzucić na niego, stali, wstydząc się tego, czego doznawali. Widać było spuszczone głowy i ręce pozałamywane.

Zborowskiemu dwa strumienie łez rzuciły się z oczów, — szlochał! Wszystkie wspomnienia młodości,

jej nadzieje niezrealizowane, zmarnowane marzenia wielkie, upadek domu, poniżenie własne — ścisnęły mu serce; o zemście nad Wojtaszkiem już ani mógł pomyśleć, zapomniał zdradę, gniew się rozlał i wypłynął ze łzami.

Lutnista śpiewał, a choć się pieśń krótka o trzech strofach skończyła, powtórzył ją jeszcze.

Tymczasem wszystko, co stało dokoła, patrzało na tego cudotwórcę.

Zborowski, nic nie mówiąc, wysunął rękę do kubka nalanego, który stał przed nim i choć drżała, a napój się rozlewał, podał go Wojtaszkowi. Wymógł na sobie lutnista, że się nisko pokłonił.

Zrozumieli wszyscy, że to było przebaczenie i zgoda, a Boksicki i inni pomyśleli, że jednak niepospolitej potrzeba było odwagi, aby w ten sposób sobie wyjednać przejednanie u zagniewanego.

Gdy nareszcie pieśń przebrzmiała, Wojtaszek, nie chcąc dopuścić rozbudzenia zupełnego, zaczął drugą wesołą, miał bowiem zwyczaj tak je przeplatać. Twarze smutne się wyjaśniły i w upojonej gromadzie tu i owdzie głosy do chóru się nastrajały.

Zborowski tymczasem dał znak, aby Wojtaszkowi nastawiono jeść i pić. Nie spytał się go nawet, co przez ten czas robił, gdzie był. Pogroził mu tylko i zamruczał.

— Nie próbuj ty mnie. Prawda, uchodziło ci bezkarnie, ale u mnie jeden raz dosyć, więcej już nie będzie komu się ze mnie naśmiewać!

Nikt pewnie takiego się końca nie spodziewał, a ci, co mieli się już rzucić na Wojtaszka, otoczyli go, dopytując i dając mu rady, opowiadając, jak pan za nim tęsknił i t. p.

Zwolna niektórzy się z izby wycofywać zaczęli, liczba biesiadników zmniejszała się, a Włoch mnich, który w krześle pozostał, bo się o swej sile ruszyć nie mógł, z głową zwieszoną za poręcz, z ustami otwartemi, w których sterczały czarne, popsute zęby, spał i chrapał.

Podniósł się z siedzenia swojego i pan Samuel, do sypialni chcąc iść i kazał sobie podać rękę Wojtaszkowi, który go poprowadził, a jak nieraz już bywało, sam go rozebrał.

Na stole, w którym leżały listy i papiery mu potrzebne, stały świece. Rozmarzony, drzemiący już Samuel dał się rozdziać, rzucił na pościel, potoczył oczyma po izbie, bo mu, gdy głowę na poduszkę złożył, zawróciło się w niej nagle i wyjęknął niewyraźnie do lutnisty:

— Śpiewaj!

Wojtaszek siadł na ziemi, trochę podumał nad wyborem piosenki i natychmiast cicho, smutno, powoli nucić zaczął, właśnie jak niańka przy dziecka kolebce.

Zborowskiemu natychmiast się oczy zamknęły — zasnął. Nikogo więcej nie było w izbie.

Można li było zaufać snowi Samuela, nie mógł się on nagle przebudzić i otrzeźwić, jak mu się to nieraz trafiało pod silnem wrażeniem?

Wojtaszek właśnie rozmyślał nad tem. Tymczasem bardzo zręcznie głos tak mierzył, osłabiał, ażeby, gdy pieśń miał dokończyć, nie dało się to prawie czuć śpiącemu.

Samuel głęboko, mocno usypiał, a lutnista siedział, to na niego, to na stół spoglądając.

Jedna chwila miała o losie Wojtaszka rozstrzygnąć — stawił życie na kartę!

Zborowski spał. Lutnista się podniósł z ziemi po cichu, spojrzał jeszcze na niego i przystąpił do stołu.

Wiedział, gdzie leżały papiery. Stała zwykle u nieopatrznego pana szuflada otworem, popróbował ją otworzyć, na ten raz znalazł zamkniętą. Znając obyczaj — wiedział, że klucz nie mógł być gdzie indziej, jak w sukni, którą Samuel miał na sobie, a tylko co ją rzucił. Poszedł więc przetrząsać kieszenie i znalazł go w istocie.

Trzask otwieranego zamka i odsuwanej szuflady nie obudził śpiącego; śmiało więc, przysunąwszy świe-

cę, Wojtaszek rozpoczął pośpiesznie przetrząsać listy i cisnąć je za pazuchę.

W niedawno wrzawliwym domu panowała cisza, wszystko się zdawało usypiać... lutnista pośpieszał, gdy wtem dał się słyszeć szelest pode drzwiami i podniósłszy oczy, w szparze drzwi przymkniętych spostrzegł Wojtaszek dwie czarne ogniste źrenice, wlepione w siebie. Pierwszą myślą jego było rzucić się.. i zamordować.

Zostawując szufladę otwartą, skoczył żywo, lecz drzwi popchnąwszy, znalazł pod niemi — Motrunkę... Ochłonął natychmiast.

— Stój tu, — rzekł — pilnuj, aby nikt panu snu nie przerywał, mnie kazał papierów szukać!

Zbywszy się w ten sposób dziewczęcia, Wojtaszek co żywiej powrócił do stołu, ręką drżącą począł znowu przebierać listy i ciągle się oglądając na śpiącego, który przez sen dyszał i stękał, dobił się nakoniec do dna.

Za suknią miał cały stos pochwyconych listów. Zasunął żywo nazad szufladę, zamknął ją i klucz wsunął napowrót do sukni Zborowskiego.

Rachował, że w ten sposób może się nie tak rychło dopatrzą kradzieży, aby się za nim w pogoń puścić mogli. W każdym razie czasu do rana miał przed sobą dosyć, aby na wypoczętym koniu dostać się do Cobarowych ludzi i pod ich osłoną puścić się do Lwowa.

Szczęściem Zborowski się nie przebudził, a Wojtaszek, świec nawet nie pogasiwszy, bo się lękał, aby nagła ciemność nie zbudziła śpiącego, wysunął się z sypialni.

Motrunkę zastał jeszcze w progu na straży.

— Idź spać! — szepnął jej — ja także padam ze zmęczenia, już dłużej nie wytrwam!

Z zuchwalstwem niesłychanem, które dotychczasowe powodzenie podniosło jeszcze, Wojtaszek wprost z sypialni pobiegł w dziedziniec, wśród ciemności łatwo wyszukał znane sobie pale, które mógł wyjąć, wysunął się z podwórca i biegiem pośpieszył do konia.

Tu pierwszy go spotkał zawód. Spętanego konia

w czasie niebytności jego wilki napadły i zdusiły. Miał tylko czas spojrzeć na leżącego, około którego kilka par oczów świecących w ciemnościach się snuło i piechotą musiał dalej pędzić do gospody, w której ludzi Cobarowych pozostawił.

Zabrało mu to daleko więcej czasu, niż rachował, i dzień się zrobił dobry, a potem słońce do góry podniosło znacznie, nim na śmierć znużony pośpiechem i trwogą, dostał się do gospody.

Tu także nie mógł spoczywać ani chwili, pogoń groziła. Konia od jednego z ludzi wziąwszy, puścił się natychmiast do Lwowa, nie gościńcem, bo zawsze się obawiał, że gonić go będą, ale małemi ścieżynami przedzierając się ku niemu.

Pod miastem samem, na skraju lasu spostrzegł w istocie pędzących na koniach, które całe okryte pianą i potem pod razami jeźdźców wysilały się, Boksickiego i kilku hajduków. Dał im się wyminąć i zaraz po nich małemi uliczkami dostał się do gospody Ormianina.

Tu z siodła się zsunął na ziemię, a nadchodzący śpiesznie Cobar kazał go zanieść nieprzytomnego do izby, gdzie wodą i winem, w usta wlanem, otrzeźwiono.

— Masz listy? — zapytał Węgier.

Wojtaszek, śmiejąc się, uderzył się po piersiach.

VIII.

Nierychło nazajutrz przebudził się pan Samuel, a i służba jego po wczorajszej uczcie ściągała się powoli, ziewając, wielu z pozawiązywanemi głowami i plastrami, obwiniętemi rękami, bo nie każdy cało wyszedł z tej zabawy.

Rozbudzony, natychmiast sobie przypomniał Wojtaszka i rozkazał go przywołać do siebie, gdy mu ranną polewkę do łóżka przynosił ulubiony Michał.

Rozbiegła się czeladź, ale napróżno szukano lutnisty; nikt go od wczorajszego wieczora nie widział.

W dawnej izbie jego nie było nawet śladu, aby w niej nogą postał.

Wszyscy byli pewni w początku, że jak inni, napiwszy się, poszedł kędyś na siano i znużony odpoczywał.

Spodziewano się go zobaczyć co moment, ale czas do południa upłynął, a o Wojtaszku nie było ani słychu. Leżący na łożu swem Samuel dopiero teraz spostrzegł, że na podłodze leżało kilka wyrzuconych z szuflady listów, a przez źle domkniętą z pośpiechu wyglądały papiery.

Pewnym był tego Zborowski, że nieład nie mógł być jego sprawą; tknęło go to i rzucił się zaraz do stołu. Pamiętał, że ostatni list Krzychnika leżał na wierzchu. Zaledwie otwarłszy, mógł się już roboty domyśleć... listy były do góry nogami poprzewracane tak, że najdawniejsze leżały na wierzchu. Pobieżne spojrzenie przekonało go, że najważniejszych brakło.

Zborowski nie krzyknął, ale zaryczał z wściekłości, tak, że w domu całym wszystko zadrżało.

Pierwszy przypadł Boksicki. Znalazł pana stojącego jeszcze u stołu i nie mogącego mówić, taki go objął gniew. Trząsł się i miotał. Wskazywał Boksickiemu papiery, ale on ruchu tego rozumieć nie mógł.

— Bestja! Zdrajca! Pies ten! — rozpoczął wreszcie Zborowski. — Na koń, w pogoń, łapać... porwał mi papiery... Schwytanego nie przywozić, powiesić na pierwszej sośnie. Trupa tylko widzieć chcę, żywego nigdy!

I padł na łoże, zachodząc się z tego gniewu.

Boksicki chciał rozpytać, ale ze Zborowskim mówić teraz nie było podobna. Gdy wspomniał Wojtaszka, porywała go wściekłość i usta mu się pianą okrywały. Co napadł i schwycił w rękę — rwał i szarpał w kawałki.

Puściła się nakoniec pogoń nie jedna, bo wszyscy chcieli się zasłużyć panu, a nie było człowieka, któryby Wojtaszka zgubić nie pragnął. Oprócz więc Boksickiego, który zabrał najlepszych ludzi, kto tylko mógł się

wyrwać, skoczył na konia i rozbiegli się tak na wszystkie strony, że lutnista cudem chyba mógł ujść.

Znaleziono w lesie nawpół rozszarpanego konia, a niedaleko od niego siodło i rząd, po których poznano, że koń Wojtaszkowy być musiał. Spodziewano się więc go dognać, ale lutnista umiał się im wymknąć, a nóg nie żałując, do Cobarowych ludzi dostał się, nim pogoń do gospody dobiegła.

Co się działo tymczasem w Białym Kamieniu, tego żaden język nie wypowie. Poniewczasie pan Samuel ręce łamał, lamentując, że przebaczył i że natychmiast zdrajcy obwiesić nie kazał. Wyrzucała mu to Anna, która z największą zajadłością przeciwko niemu instygowała. Wszystko to przychodziło poniewczasie.

Gdy, ochłonąwszy z pierwszego szału, Zborowski się wziął do przejrzenia papierów, przekonał się łatwo, że te, które mu skradzione zostały, wszystkie jego i Krzychnika obwiniały, a tak dowodziły ich zamachów na króla i kanclerza, że o celu tej kradzieży powątpiewać było niepodobna.

Wszystko w ten sposób zostało zdradzone, a podczaszy mógł się spodziewać, że na mocy jego własnoręcznych pism król każe go pochwycić i sprawę mu wytoczyć.

Samuel mógł się ucieczką salwować, podczaszemu groziło niebezpieczeństwo. Nie było więc ani chwili do stracenia i natychmiast potrzeba było wyprawić listy z ostrzeżeniem, aby się wszyscy Zborowscy na baczeniu mieli.

Boksicki drugiego dnia, powróciwszy do Kamienia, przywiózł dokładniejsze wiadomości: dowiedział się o pobycie Wojtaszka u Ormianina i o przybyciu Cobara, i o tem, że gdy Wojtaszek powrócił, Węgier z nim zamiast do wojska się udać, zawrócił do króla polującego w Niepołomicach. Kusić się o odbicie lutnisty nie było można i na niewieleby się to przydało, bo listy miał Cobar w ręku, a te mocniej nad niego świadczyły.

Posłańcy Samuela, przybywszy z listami do siostrzeńców Stadnickich, do Włodkowej, do braci, poru-

szyli tu, co żyło. Z Krakowa się dowiedziano, że Cobar tam przybył z lutnistą i że ten zaraz miejsce u króla i jurgielt otrzymał.

Spodziewał się Węgier od swojego pana wdzięczności i pochwały; jakoż oboje go nie minęło, ale Batory go przyjął wcale inaczej, niż myślał.

Wiedział już, że wyprawiony na Podole Cobar, nie dojechawszy do wojska i zdawszy, co miał, na Zyberga, powraca.

Król nawet dla starania i pieczołowitości o swe życie takiego wykroczenia nie przebaczał.

Triumfujący Węgier złożył w obronie swej listy i stawił lutnistę.

Król przebiegł oczyma papiery i kazał je sobie tłumaczyć. Słuchał wyrażeń dosadnych, w nich zawartych, obojętnie prawie, choć przeciwko niemu wymierzone były.

Nareszcie, gdy się skończyło to czytanie, z którego jawnem było, że na życie Batorego czyhała trucizna, a na Zamojskiego ludzie Samuelowi i on sam, król rzekł obojętnie prawie:

— Co ty myślisz, Cobar, żeś mi nowinę przywiózł, o której ja nie wiedziałem? Prawda, żem dowodu nie miał w ręku, alem tak był pewnym tego, co oni knują, jakbym ich podsłuchał. Znam tych ludzi... Gardła im niczem nie zapchać, dumy ich nasycić niepodobna... głowy z karków postrącać potrzeba, dopiero od nich będziemy bezpieczni!

Z uśmiechem szyderskim, ale nie przywiązując do nich wielkiej wagi, król listy Zborowskich ukazał Zamojskiemu, biskupowi Myszkowskiemu, Tęczyńskim.

— Cóż tu poczynać z nimi? — zawołał. — Wytoczyć im sprawę !Nie będzie ich kosztowało wyprzeć się i zaprzysiąc własnej ręki. Albo Łaskiemu nie powiedział Samuel: Skarż się na mnie, ja się wyprę. — Musimy ich pochwycić na uczynku, a naówczas...

Król się uśmiechnął i rzekł pogardliwie:

— *Mortuus canis non morderet* (zdechły pies nie kąsa).

Gdy się to działo na zamku, — po dworach panów Zborowskich, po domach, z nimi skoligaconych, rozchodziła się trwoga.

Krzychnik, najmocniej zagrożony, zaledwie otrzymał wiadomość od Samuela o tem, że listy jego były w ręku króla, w godzinę już potem zniknął z Franciszkańskiej ulicy.

Zbiegł pieszo, naprzód do Piekar. Tu nie czując się bezpiecznym, uszedł do najmłodszego ze Stadnickich, ale i tu obawiając się zdrady, w małym poczcie wiernych sług natychmiast puścił się do granicy i nie odetchnął, aż ją przekroczywszy, był na terytorjum cesarskiem.

Tu się pana „Rady cesarza" nikt nie śmiał tknąć.

Marszałek mniej był zagrożony listami, ale choć pisania unikał i to tylko go obwiniać mogło, że Krzychnik o nim dawał świadectwo, że tak samo myśli, jak i on, wyjechał także z miasta. Bronił się jednak otwarcie, iż o niczem złem nie wiedział.

Wszyscy oni teraz pośpieszyli o ratunek do Jana, z wyjątkiem Samuela, który ani mógł, ani już chciał się oczyszczać. Banicję mając na sobie w dodatku, wiedział, że mu, pochwyciwszy go, nie przebaczą.

Najbardziej mu na sercu mściwem leżało, iż zdrajca się wymknąć zdołał. W listach do Stadnickich młodych zaklął ich na krew, która w żyłach ich płynęła, aby się starali nieodzownie *per fas* czy *per nefas*, siłą, zdradą, w jakikolwiek bądź sposób, jakimkolwiek kosztem — Wojtaszka pochwycić i jego mu dostawić.

Publicznie powtarzał Samuel z udaną zimną krwią:

— Nie będę miał spokoju, póki go nie dostanę. Pasy z niego będę darł! pasy! pasy!

Jeden ze Stadnickich, w którego żyłach istotnie żywiej krew Zborowskich płynęła, umyślnie się udał do Krakowa z tem, aby Wojtaszka pochwycić.

Cobar, jak był przyrzekł, wyrobił mu zaraz u króla miejsce lutnisty. Opieka pańska i nazwisko królewskiego nadwornego sługi dawało mu wprawdzie bezpieczeństwo, zasłaniało go od Zborowskich, ale inne

korzyści, jakich się tu spodziewał Wojtaszek, ominęły chciwego odznaczenia się i wzbogacenia młodzika.

Miał król wprawdzie cytarzystów i śpiewaków, ale ci więcej dla gości i dla formy przy dworze się czepiali i cierpiani byli, niż mu potrzebni. Sam król rzadko miał ochotę rozrywać się muzyką. Najmilszą mu była, gdy w Niepołomskich lasach psy ją grały.

Królowa jejmość miała swoich i dwór jej osobno się trzymał, a najczęściej oba one nie w jednem miejscu się znajdowały. Naostatek młody i nowy na dworze nieznany nikomu Wojtaszek panów Zborowskich zawczasu w starych lutnistach króla miał nieprzyjaciół. A gdy się na dworze zjawił i ze sztuką swą popisał, obudził zazdrość i niechęć ku sobie większą jeszcze.

Cobar, który go miał w opiece, nie zawsze przy królu stał; najczęściej go Batory wysyłał to do wojska, to z rozmaitemi poufnemi poleceniami, nietylko w Polsce, ale i zagranicę. Naówczas Wojtaszek zostawał sam, jak palec, otoczony nieprzyjaciółmi, a zyskać sobie ludzi nie umiał. Cierpiał więc na każdym kroku, wyśmiewany, popychany, wcale nie dobiwszy się tego, o czem marzył.

Wiedziano za co otrzymał miejsce, jurgielt i opiekę: zwano go więc zdrajcą i imię to do niego przylgnęło tak, że inaczej między muzykantami, jak nim, go nie mianowano.

Mógł to był sobie wynagrodzić łatwo, po mieście chodząc i do śpiewania się najmując przy weselach, chrzcinach, a zabawach bogatych mieszczan, ale na miasto sam się puszczać nie śmiał, bo tam łatwo było popaść w ręce panów Zborowskich, którzy jeden gwałt więcej popełniłby się nie wahali.

Musiał się więc w tych wycieczkach wystrzegać i dobrze oglądać na wszystkie strony. Stadniecy za nim krok w krok chodzili. Sam on wiedział i czuł, że długo tu wytrwać nie potrafi i że zdrada się nie opłaciła. Do czasu jednak cierpieć musiał i milczeć.

Historja Wojtaszka stała się głośną w mieście i po kraju, było wielu ciekawych, co go widzieć i posłuchać

pragnęli, ale pogardę mu okazywano; a nawet ci, co nie lubili panów Zborowskich, dla niego też wielkiej łaskawości nie mieli.

O niewiele szło, ażeby się Wojtaszek w ręce Stadnickiego, a przez niego do dawnego pana nie dostał.

Kilka miesięcy upłynęło i lutnista się nieco obył ze swem położeniem, a nawet zabezpieczył, że go Samuel nie będzie śmiał na zamku szukać i z pod boku króla porwać. Zaczął więc chodzić swobodnie i sam jeden.

Stadnicki młody na to tylko czyhał, a podbudzała go do pilności Włodkowa, która szczególniej dawniej lutnistę lubiła, a teraz go nienawidziła.

Czeladź Stadnickiego, zasadziwszy się na Wojtaszka, gdy nieopatrzny z miasta powracał z lutnią na plecach, nucąc sobie, zastąpiła mu drogę.

Wąsaty ogromny siłacz pokłonił mu się, nie puszczając go dalej. Miał z sobą w towarzystwie takich, jak on sam, drabów sześciu.

— Czołem, Wojtasiu! jak się masz? — zawołał. — Trudno cię poznać tak na białym chlebie królewskim ciała ci przybyło.

— Daj mi pokój, nie znam cię — odparł Wojtaszek — puszczaj!...

— Poczekaj mało — rzekł hajduk — a to i pamięć widać straciłeś. Jam sługa panów Stadnickich, a oni mają polecenie do was, gdyby się trafiło ująć i dostawić panu Samuelowi, boś się, odchodząc, zapomniał z nim pożegnać i rachunek o jurgielt pono nieskończony. Coś ci się od dawnego pana należy!

— Puszczajże — krzyknął Wojtaszek — jam królewski sługa. Jak śmiesz mnie wstrzymywać!

Wtem drab pochwycił go za kołnierz, drudzy obstąpili, ścisnęli, objęli i Wojtaszek pchany musiał iść z nimi.

Gdy się to działo prawie przed samą bramą zamkową, przechodził właśnie tamtędy Dzierżek z dwoma sługami Zamojskiego. Wszyscy oni znali Wojtaszka, który parę razy był brany na pokoje do kancle-

rza dla śpiewu. A że historję jego wiedzieli, łacno się domyślili, co się święci. Dzierżek więc nie mieszkając, pobiegł na zamek do dworzan króla.

Nikogo tak dalece nie obchodził lutnista, ale bądź co bądź należał do dworu i pochwycenie go było zuchwalstwem karygodnem. Natychmiast więc Mroczek, który był pod ręką, wyprawiony został w pogoń z dziesięciu ludźmi, aby Wojtaszka odebrać, nimby go dalej pośpieszyli uprowadzić.

Wojtaszek ze swymi przewodnikami był zaledwie w Grodzkiej ulicy, gdy Mroczek przypadł konno.

Ci, co prowadzili lutnistę, domyślając się odsieczy, chcieli się z nim skryć do kamienicy, ale nim dopadli do wrót, Mroczek już był przy nich.

— Stój, jakiem prawem? To jest lutnista króla?

— Mylicie się, miłościwy panie, — odparł sługa Stadnickiego — to jest wychowaniec i lutnista panów Zborowskich. Uciekł z ich domu, pochwyciwszy, co do niego nie należało. Złodziej jest i my go musimy dostawić dawnemu panu do porachunku.

— Nikt go wam nie schowa do kieszeni; — krzyknął rotmistrz — możecie i pozywać, i dochodzić, ale tymczasem wolnego człowieka z królewskiej służby nikt nie ma prawa samowolnie chwytać. Puszczać mi go zaraz!

Drab chciał jeszcze próbować oporu, gdy Mroczek dał znak swoim ludziom, którzy nacisnęli tak, że musieli go Stadniccy wypuścić.

Wojtaszek dopiero odetchnął, bo duszę już miał na ramieniu i pewnym był, że z życiem nie ujdzie. Mroczek go natychmiast między swoich wziął i na zamek odwiózł nazad.

Ta pilność około Wojtaszka i inne pogłoski niepokojące, którym towarzyszyło złowrogie milczenie króla i Zamojskiego, dawały Zborowskim do myślenia. Nie bez przyczyny wnosili, że i hetman, i król najstraszniejsi byli, gdy patrzyli zdaleka, upatrywali chwili i nawet grozić, ani przestrzegać nie raczyli.

Samuel o sobie myśleć nie mógł, bo zdawało się,

że nieodwołalnie był potępiony w oczach pana. Za nim wszelakie staranie było próżne, ale Krzysztofa i Andrzeja chciano uratować, a rodzina ich dalsza nie wierzyła, żeby tak daleko zabrnęli, aby ich nie można na brzeg wyciągnąć. Udali się do kasztelana... Andrzej pojechał do niego, bo ten był najzręczniejszy, a umiał pana gnieźnieńskiego przekonać i skłonić.

Ten stał zupełnie poza szrankami, w których się obracali tacy zwolennicy cesarscy, agenci, czynni Rudolfa. Andrzej przybył do niego z użaleniem i gotową powieścią.

— Spisek na naszą zgubę uknuto — mówił do niego. — Niegodziwy ten ulubieńczyk Samuela, Wojtaszek, fałszywe, podrobione jakieś listy z doskonale naśladowaną ręką Krzysztofa zawiózł. W listach mowa o truciźnie, o zasadzkach, o zabójstwach. Król zdrajcy muzykantowi dał miejsce u siebie w kapeli i milczy, Zamojski także... wiemy, co to ma znaczyć! — poczną może od Samuela, pójdą potem do Krzychnika, od niego do mnie, a gotowo się skończyć na was, panie kasztelanie, bo kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.

Z początku kasztelan nie dowierzał, ale Andrzej z nadzwyczajną zręcznością nad nim pracował dopóty, aż go namówił i przekonał, że powinien jechać do Krakowa i raz się z królem stanowczo w sprawie familji rozmówić.

Kasztelan pojechał.

Nie miał tu łask szczególnych, ale miał wiarę u króla i hetmana. Począł od tego ostatniego, lecz gdy zagaił — Zamojski przerwał mu tem, iż z królem o tem, nie z nim mówić potrzeba.

— Ja w tej sprawie — dodał — nic przez się nie czynię i czynić nie będę.

Zatem wyrobił Jan sobie posłuchanie u króla, a wchodząc już po twarzy króla poznał, że się domyślać musiał, o co chodziło.

Jan z całym zapałem czującego się niewinnym człowieka wniósł sprawę pokrzywdzonej i spotwarzonej

familji swojej, błagając króla, aby fałszom złośliwych nieprzyjaciół Zborowskich nie dawał wiary.

Kasztelan mówił gorąco, łzy mu nawet z oczów płynęły, unosił się, ukarzał, prosił, a ile razy spojrzał na twarz króla, aby zbadać wrażenie, nie znajdował na niej ani litości, ani najmniejszej oznaki złagodzenia.

Prawda, że Batory wogóle niełatwym był do zwrotu w przekonaniach, a do przebaczenia nieprzyjaciołom nieskłonnym wcale. Nie znano prawie przykładu, aby urazę osobistą darował. Sprawy jego w Polsce to usposobienie podniosły jeszcze i spotęgowały. Od elekcji samej trwała z początku otwarta, potem tajona walka z cesarskimi partyzantami, którzy mieli stolicę swą we Wrocławiu, znanych dowódców, wyznaczone sumy i wciąż podkopywali powagę, znaczenie i trwałość rządów Batorego.

Na łzy kasztelana popatrzywszy obojętnie, król poruszył ramionami.

— Nie wątpię — rzekł — o szczerości waszej; mówicie, co wam wmówiono, ale was tak okłamano, jak i mnie oszukać chciano. Trudno się jednak łudzić, gdy dowody czarno na białem trzyma się w ręku.

— Najjaśniejszy panie! — podchwycił kasztelan — raczcie sobie przypomnieć tego pisarza w Grodnie, który tak rękę waszą umiał naśladować, żeście wy sami podpisu jego od własnego rozpoznać nie mogli. Alboż się nie mógł znaleźć zły człowiek, który rękę braci moich naśladował dla ich zguby?

— Czekaj chwilę, kasztelanie, — odparł król — uczynię cię samego sędzią.

To mówiąc, król wyszedł i mało co zabawiwszy, powrócił z wiązką papierów w ręku.

Kasztelan rzucił się na nie chciwie i przepatrując, zdrętwiał... Nie było najmniejszej wątpliwości. Pismo, pieczątki, papier, wszystko się składało na to, ażeby wszelką wątpliwość usunąć!

Zrozpaczony starzec, któremu papiery z rąk wypadły, zakrył sobie oczy i nie powiedział już ani słowa.

Batory zabrał papiery i odezwał się z łagodnością:

— Widzicie, że z mojej strony nie podejrzenie jest, ale pewność zupełna. Przeczytajcie ich listy, przekonacie się z ich treści, jak nieprzebłaganą nienawiścią pałają dla mnie. Muszę więc pilnym być, czuwać i bronić się. Uniewinnić Krzysztofa i Samuela w oczach moich nic nie zdoła. Ostrzeżcie ich, aby się z kraju wynosili, bo ja nie dla siebie, ale dla kraju, dla jego spokoju nieubłaganym być muszę.

Kasztelan, zabolawszy okrutnie, musiał odejść z niczem i tegoż dnia przybyłemu marszałkowi oświadczył, iż Krzysztofowi nic nie pozostawało nad ucieczkę, a Samuel też, chciał li być cały, wynosić się musiał.

— Co do was, — dodał — i na was ciężą podejrzenia, ale nie tak ciężkie. Możecie się oczyścić jeszcze.

Po tej ostatniej próbie kasztelan, dotknięty głęboko postępowaniem braci, chociaż ich bronił z obowiązku, zerwał prawie z nimi stosunki. Andrzej także stanął na boku, nie poczuwając się do winy braci i chcąc wytrwać na stanowisku. Potajemnie zaś wspomagał i radził Krzysztofowi, gotów był ratować Samuela.

Zborowscy, którzy i tak trzymali z Czarnkowskim i głównymi partyzantami Rakuzan, zbliżyli się do nich, podwoili gorliwość.

O najmniejszych rzeczach, cokolwiek się działo na dworze, między senatorami, w Polsce. w Wiedniu, przez Wrocław i korespondentów — cesarz był uwiadomionym. Spodziewano się tam albo śmierci Batorego, lub jakiegoś wybuchu malkontentów, na których czele mógł stanąć cesarz, który oświadczył, że nie przestanie się starać o koronę polską i że ją mieć musi!

Po nieudanej próbie pochwycenia Wojtaszka, którego tylko przytomność umysłu Dzierżka i pośpiech Mroczka ocalił, przestraszony lutnista już się na krok z zamku nie ruszył, a i tu nie czuł się bezpiecznym. Wiedział dobrze, że pokryjomu, zręcznie go porwawszy stąd, Zborowscy-by sobie winy dowieść nie dali, a znał, czem była ich zemsta.

Odgróżka ta Samuelowa: będę z niego pasy darł!—

nie była próżną. Kto wie, coby z nim kazał uczynić, gdyby go raz miał w swojem ręku!

Nauczył się teraz Wojtaszek, jaki smutny los czekał zdrajcę. Pogardzano nim na zamku, zemsta czyhała poza jego murami. Nawykły i chciwy oklasków, nie miał nawet teraz zręczności pozyskania ich i chwilowego nasycenia miłości własnej. Całemi dniami musiał siadywać na ławie w antykamerze, czekając, azali go nie zawołają na pokoje.

Najczęściej niewzywani muzycy rozchodzili się potem, ale wszyscy inni swobodnie wysuwali się na miasto, zabawiali po browarach, zapraszani śpiewali po domach, zarabiali potrosze grosza i mogli się rozerwać. On zaś nosa nie śmiał wytknąć za bramę... nikt się o niego nie troszczył. Wiódł najsmutniejsze życie w świecie.

Parę razy, gdy książęta niemieccy byli na zamku, a Batory nie wiedział, jak ich przyjmować, wołano muzyki... Naówczas starzy tak manewrowali, aby nie dopuścić do głosu Wojtaszka i tylko, gdy razem śpiewali wszyscy, mógł się dać słyszeć. Naówczas choć się wyrywał i głos podnosił, umiano go zagłuszyć.

Po dawnem życiu, targanem namiętnościami, gorączkowem ale utrzymującem w ciągłem naprężeniu wszystkie władze, Wojtaszek popadł w rodzaj odrętwiałości, która go jak rdza jadła.

Do tego męczeńskiego stanu przyczyniły się tęsknice. Tęsknił nawet za tem i za tymi, których znienawidział; przypomniał sobie Złoczów, Biały Kamień, Zaborów i inne miejsca pobytu, zabawy, walki, strachy... Anusię gniewną, rozkochaną Motrunkę, a nawet pijane biesiady wrzaskliwe, w których Samuel tak był straszny. Żałował niemal swojego kroku, za który ukarany został nie jednem cięciem, ale powolną męczarnią.

Po kilkakroć zrywał się już, pochwyciwszy lutnię i swój mały węzełek, zbiec gdzieś do Niemiec, do Czech, bodaj do Moskwy, lecz po drodze mogli go Zborowscy porwać i powiesić na pierwszej z brzegu gałęzi.

W takich rozmysłach czas mu upływał na królewskim dworze. Mógłby był mieć jakąś rozrywkę, zbliżając się do dworu królowej, ale ten się składał z kobiet po większej części podżyłych, lub starych, a królowa sama, jeśli nie pisała listu do Szwecji, nie doglądała apteczki i ogródka, nie modliła się, to odpoczywała w bardzo szczupłem kółku, o śpiewie i muzyce nie myśląc.

Zawczasu już jakby przeczuwała swój stan wdowi, chodziła w czerni cała, uśmiech prawie nigdy nie zjawiał się na jej ustach.

Tak samo było z królem, zajętym wojną, łowami, polityką swą, Węgrami, zresztą, którymi się przeważnie otaczał, nie szukając rozrywki żadnej, oprócz myślistwa.

Pracowano tu wiele, a zabawa była prawie niesłychaną rzeczą... nie czuł nikt jej potrzeby. Wyjątkowem było ono wesele z maszkarami, ale i to już teraz do wspomnień należało.

Nieco może jaśniej bywało na pokojach kanclerza, i tu czasem dźwięk lutni dawał się słyszeć, ale on towarzyszył nowej pieśni Jana Kochanowskiego i musiał się posłusznie do niej nałamywać.

Nie mając co począć, a siedząc ciągle na zamku, Wojtaszek uczęszczał do kościoła, zachodził do zakrystji i księżom ofiarował swe usługi, które chętnie były przyjęte. Wdziewał komeżkę, a piękny głos jego w chórze wszystkich zachwycał.

Miłość własna Wojtaszka przynajmniej cokolwiek była połechtaną.

Księża, z którymi się zapoznał, nie znając jego przeszłości, słysząc głos, widząc chłopaka roztropnym, zaczęli go do stanu duchownego namawiać. Ale do tego nie miał powołania.

Wychowany w domu, w którym religja poszanowaną nie była, bo Samuel liczył się do nowatorów i za katolika nie uchodził, a w istocie żadnej nie miał wiary, Wojtaszek nauczył się drwić z obrzędów, lekceważyć duchownych i myślał naówczas z innymi, również

lekkomyślnymi, że stara wiara musi zginąć. Nie dał się więc pociągnąć, ale tymczasem do zakrystji uczęszczał, jak do kręglarni, dla zabawy.

Ale i stąd go przeszłość wygnać miała.

Mówiliśmy wyżej o dwóch dominikanach, nad którymi głośne było okrutne znęcanie się Zborowskiego, pod pozorem jakiejś na nim potwarzy, a w istocie spowodowane tem, że oni na utrzymanie żony Samuela przy wierze katolickiej wpływali.

Wojtaszek, będący naówczas nieodłącznym od swego pana, patrzał na uwięzienie dominikanów i znał ich dobrze. Oni go też pamiętać musieli, jako pomocnika swego oprawcy.

Jednego razu, gdy Wojtaszek swym zwyczajem zabierał się do śpiewania w chórze i miał komeżkę przywdziewać, ujrzał wchodzącego jednego z dwu księży, co się ledwie z rąk Zborowskiego wyrwać potrafili, ojca Czesława.

Dominikanin, zobaczywszy go, poznał odrazu i zmarszczył się surowo.

— A ty co tu robisz w miejscu poświęconem? — zawołał, patrząc na niego.

— Należę do śpiewaków królewskich, — odparł Wojtaszek — cóż za dziw, że na Wawelu w kościele śpiewam?

— Ty! Do śpiewaków króla? — przerwał zgorszony ojciec Czesław. — A cóż za bezbożnik cię tu wprowadził? A oczyściłeśże się ty z tego brudu, w którym grzęzłeś po szyję razem z twoim dawnym panem?

Wojtaszek milczał, śmieszkiem nadrabiając. Tymczasem zbliżyli się księża katedralni i słuchali.

— Ma śliczny głos — odezwał się kantor, przechodząc.

— Ale zajrzyjcie mu do duszy! — ogniście krzyknął o. Czesław. — Toż to z kałuży grzechu i nieprawości wydobyta żmija.

Wszyscy księża przytomni przysłuchiwali się z nadzwyczajną ciekawością.

— Ale to śpiewak króla jegomości — dodał jeden.

— Spytajcież go, czyim wprzódy był — mówił o. Czesław — a nie tykając ręką, bo się powalacie, miotłą go za próg wyrzućcie i to miejsce, po którem chodził, ogniem wypalcie, święconą wodą obmyjcie...

Milczeli wszyscy, dominikanin nie ustawał.

— Przecież to ulubieniec Samusia Zborowskiego, łotra, co do świętych strzelał obrazów, co księży znieważał, co Wapowskiego, świętego męża jeszcze świętszej niewiasty, ubił. To jego wychowaniec, kochanek, pieszczota...

I ksiądz ze wstrętem odwrócił się od Wojtaszka, w którego rękach komeżka drżała. Wszyscy duchowni, w zakrystji zgromadzeni, ze zgrozą i jakąś niechęcią spoglądali na śpiewaka. Nikt mu jeszcze nie śmiał powiedzieć, aby sobie szedł precz, ale na wszystkich twarzach stał ten wyrok wypisany.

Wojtaszek go zrozumiał. Komeżkę rzucił natychmiast, kapelusik swój z piórem włoskiem porwał do ręki i słowa nie mówiąc, skłoniwszy się zaledwie księżom, wyniósł się precz z zakrystji, w której więcej nie postał.

Żałowano go tu dla głosu, ale niepodobna było, wiedząc, kto on był i skąd pochodził, dopuszczać go do udziału w nabożeństwie. Byli tacy, co się użalali nad losem jego i myśleli nawracać, ale dumny Wojtaszek już im nie nastręczał ku temu zręczności i kościół zdaleka obchodził.

Znowu więc powróciły godziny długie nudów i siadywanie na ławie w izbie, w której wszelka służba zawołania oczekiwała, racząc się piwem i grubjańskiemi szyderstwy.

Wojtaszkowi czasem przychodziła ochota kamień sobie przywiązać do szyi i pójść do Wisły.

IX.

Rok tak prawie upłynął. W położeniu panów Zborowskich nic się nie zmieniło. Zawsze nad nimi wisiała groźba pomsty króla, bo ten nigdy nie przebaczał. Mil-

czenie jego i cierpliwość dowodziły tylko, że pierwszej zręczności czekał, aby nieprzyjaciół pognębić. Nie mogli się oczyścić, nie śmieli żądać, aby im winy dowodzono... pozostali w tym stanie niepewności i obawy, który jest ze wszystkich najnieznośniejszym.

Lecz pan Samuel, który już później kilkakroć wraz z Krzysztofem próbował się odzywać do Kozaków, dla uzyskania u nich hetmaństwa i dokuczenia niem królowi, z Niżu otrzymał tylko wymijające, nie stateczne odpowiedzi. Przyjmowano posyłane podarki, na listy obu ich odpisano nawet po polsku, ale tak ogólnemi słowy, iż z nich nic wyciągnąć nie było można.

Drugi raz na Niż się puszczać nie miał ochoty Samuel; nadto jeszcze świeże było pierwszej wyprawy wspomnienie.

Krzysztof, który się też pono zawiódł na wielkim księciu moskiewskim i czekał napróżno od niego jurgieltu, gdy ten wymagał naprzód, aby on zarobił nań, niekontent był i z cesarza, którego zwał się radą, ale mu nic poradzić nie umiał, aby prędzej osiągnął tron polski.

Wiadomą tylko była wielka nań pożądliwość Rudolfa, który mówił i powtarzał ciągle, że musi koronę tę mieć. Utrzymywał też i teraz po wstąpieniu na tron Batorego całą gromadę płatnych szpiegów i pokątnych pomocników, którzy wiele obiecywali, nic nie robili, a nieustannie dopominali się pieniędzy, pod pozorem jakichś dla cesarza werbunków.

W raportach z Wrocławia opisywano na pociechę Wiednia, że Batory był żółty, chory, zmęczony, że życia długiego nie obiecywał. Z tąż samą nieżyczliwością odzywano się o królowej, o którą zresztą Rudolf, jak otwarcie mówił, nie dbał. Miała ona swe wyposażenie osobne i do niczego więcej nie mogła praw sobie rościć.

Gdy Zamojski i Batory pracowali niezmordowanie około uporządkowania Polski, zabezpieczenia jej pokoju na granicach, zgotowania lepszej przyszłości, popod nimi robota podziemna kretów tych nie ustawała

ani na chwilę. Oczekiwano śmierci Batorego, jakgdyby ona wkrótce im zapewnioną była.

Nie ulega też wątpliwości, iż się tę przyśpieszyć starano i że gdyby nie pilny dozór Buccelli i innych lekarzy, ostrożność Zamojskiego, obawa i nieufność, które pobudzały do ostrzeżenia króla, przyśpieszonoby mu koniec ten, którego tak pragnęli zaprzedani rakuskiemu. Zdawało się im, że pierwsze doświadczenie, jak wiele opieszałość popsuć może, zabezpieczy od powtórnego błędu i nauczy jak szybko działać potrzeba.

Wszystko zresztą było w gotowości. Cesarz liczył cały zastęp sprzymierzeńców w Polsce i na Litwie; miał w Wielkiej Polsce Górkę, w Krakowie jednego z Tarnowskich, miał czynnego Uchańskiego, Gostomskiego, wojewodę rawskiego, i napozór ogromnie czynnego, wiele obiecującego Czarnkowskiego. Partja ta, po zgonie Zygmunta Augusta sformowana, miała się czas zorganizować i ukrzepić.

Wyczekiwanie dłuższe raczej mogło osłabić i rozprząc to wojsko, niż je powiększyć i wzmocnić. Liczono już odpadki, cesarz się gniewał. Szło więc głównie o to, aby bodaj gwałtownym czynem koniec panowaniu temu położyć. Struć, zabić, byle się pozbyć!

Ze wszystkich, którzy do tego obozu należeli, Zborowscy okazywali się najśmielsi do czynu, a z nich Samuel najpewniejszym, iż się nie cofnie.

A zatem trzeba było naznaczyć czas i godzinę, związać się słowem uroczystem i kroczyć wprost do czynu. Samuel się na to godził, Krzysztof przystawał, Andrzej się nie sprzeciwiał.

Wszystkich znudziło i wyczerpało oczekiwanie; Samuel odesłał ich, aby postanowić zjazd gdzieś na Rusi i zawrzeć umowę twardą.

W ciągu roku obawy jakiejś niespodzianki od króla osłabły. Ponieważ on się ociągał, można go było uprzedzić.

Trzej bracia naznaczyli sobie dzień zjazdu w Złoczowie. Zdawało się im, że bezkarnie dotąd kręcąc się

po kraju, jakby na nich uwagi nie zwracano wcale, mogli być zapomniani.

Samuel, choć banita, zawsze w kilkadziesiąt, do stu koni, przenosił się z miejsca na miejsce, z jednego majątku do drugiego, to ku granicy, to ponad nią się snując. Opowiadano o nim raz, że się wybiera na Wołoszczyznę, to, że idzie na Tatarów, to, że się do Włoch wynosi, a kraj opuszcza zupełnie.

Krzysztof niby że bawił na Morawie, gdzie miał jakieś bajeczne posiadłości, niby się znajdował u cesarza, a nie było go w Polsce, ale w istocie prawie się z niej nie wydalał.

Naostatek Andrzej nie ukrywał się z sobą, jawnie przemieszkiwał w Krakowie, stawił się na wielu zjazdach, brał udział w naradach, tylko dworu unikał i z kanclerzem się nierad był spotykać.

Wszyscy oni mylili się mocno, sądząc, że czy przez niedbalstwo, czy przez lekceważenie nie zwracano już na nich uwagi.

Kanclerz dla samego króla, którego się głosili nieprzyjaciółmi, musiał ich pilnować, król zaś obawiał się ich więcej dla Zamojskiego. Mroczek przez niewidzialnych swoich pomocników śledził każdy krok, wiedział o każdem poruszeniu, miał doniesienia o tem nawet, co między sobą mówili i układali. Zjazd więc, umówiony do Złoczowa, także mu nie był obcym. Zabezpieczył się, aby i tam mieć kogoś, coby mu doniósł o jego skutku.

Było to w początkach kwietnia, ale wiosna, choć leniwo, już się czuć dawała i powietrze nieco się ociepliło. Złoczów położony w kotlinie, na uboczu, wśród lasów i wzgórz, w cichym kącie, zdawał się panom Zborowskim miejscem bardzo stosownem do takiego zjazdu, któryby nie nastręczał się ciekawym oczom. Tu mogli sobie zjechać pocichu na stary zamek, nie zwracając uwagi, przesiedzieć w nim dni parę i niepostrzeżeni się rozsypać, każdy w swoją stronę.

Łatwo się domyśleć, że pierwszy przybył tu niecier-

pliwy Samuel gospodarzyć i przygotować przyjęcie dla braci.

Orszak jego, wedle dawnego zwyczaju, składał się z hajduków, dworzan, czeladzi i mógł nazwać doborowym, bo i ludziom, i koniom nic zarzucić nie było można. Próżnię, jaką po sobie zostawił Wojtaszek, wypełniał już inny młokos, Prokopek, który wieśniacze tylko pieśni śpiewywał i zprosta grał na teorbanie, ale był ulubionym pana, bo drżał przed nim i na twarz padał.

Mnich włoski dawno był, pokłóciwszy się ze Zborowskim, w podartym habicie, zmuszony dwór jego opuścić; natomiast miał on teraz Żyda, którego przezwał Rabi Jehuda, śpiewającego majufes, jeżdżącego konno i służącego za pośmiewisko, ale obdzierającego Samuela bez miłosierdzia.

Oprócz tego na wozie jechali karzeł i karlica, ubrani dziwacznie, usługujący Samuelowi, ale tych on rzadko z domu brał dla parady.

Życie wiodło się jak przedtem bez zmiany. Anusia bawiła w Białym Kamieniu, a dorastający syn Aleksander, do którego więcej może teraz, niż do córki, był przywiązanym, rzadko miał pozwolenie towarzyszenia mu i mieszkania razem.

Przez dziwny jakiś srom nie życzył sobie Samuel, aby syn ten patrzył na jego życie. Trzymał go zdala, z nauczycielami i pod dozorem bardzo szczęśliwie dobranych przewodników, czuwających nad jego wykształceniem.

Sam on wyrażał się czasem cynicznie:

— Nie chcę, aby na takiego, jak ja, wyrósł łotra i zbója. Zobaczycie! ten sławę imienia Zborowskich podniesie, ten na bohatera wyrośnie!

I przepowiednia ta się później, w niedługiem życiu Aleksandra ziściła.

Aleksander miał usposobienie rycerskie, sposobił się też głównie do służby wojskowej.

I na ten zjazd nie wziął go z sobą Samuel. Trzej bracia mieli być sami, mając z sobą tylko swe sługi

zaufane. Jana nie powoływano nawet, tak, że o zjeździe nic nie wiedział.

Samuel przybył wieczora dnia jednego, nazajutrz przyjechał Krzysztof, naostatek nadciągnął Andrzej, a pierwszem jego słowem było narzekanie, że zjazd mu się zdaje wcale niepotrzebnym i zbytecznym.

— Cóż tu omawiać, o czem radzić? — rzekł. — Od lat kilku wodę warzymy i tyle tylko, że jej w garnku coraz mniej!

Krzysztof nie odpowiedział nawet na to. Samuel zafrasował się o jadło i napitek, chcąc naprzód grzeszne nakarmić ciało. Miał z sobą beczułkę malmazji.

U stołu, który Michał w kuchni, rozprawiając o Niżu i o jakichś sławnych kaczkach, które tam piekł (a spływał z nich olej), przygotowywał, zastawiono prawdziwą ucztę szlachecką. Zawiesisto, pieprzno, słono, korzenno przychodziły na stół misy, a odchodziły czyste. Popijano dobrze i umysły się nastroiły zgodnie na wysoką nutę.

Drugi obrus zdejmowano, gdy Krzysztof, precz służbę rozpędziwszy, zawołał, że, czasu nie tracąc, radzić należało.

— Zagajaj! — odparł Samko.

— Dawno to zagajone — rzekł podczaszy. — Króla się trzeba co najprędzej pozbyć, a jeśli jego nie można, — to hetmana. Czas tracimy, czekając. Cesarz się niecierpliwi i łaje. W kraju malkontentów już jest tyle, że byle się noga powinęła, my weźmiemy górę... Batory dla nas pracuje... wszystko robi, co może, aby go naród znienawidził. Otoczył się Węgrami, z polskich swobód szydzi wprost i im zagraża. Na sejmie jeśli się odezwie, to gorzkiem słowem. Nikomu nie pozwoli ani krzyknąć, ani się poskarżyć. Wszyscy go mają dosyć, wszyscy widzą, że gdy to potrwa dłużej, nasze privilegia podeptane zostaną, i na co my od Ludwika pracowali, za jednym zamachem w proch się obróci. Co tu znaczy człowiek, gdy chodzi o kraj cały i cały stan szlachecki!

— Oto już wodę warzysz — przerwał Andrzej. — To są stare i oklepane rzeczy!

Krzysztof, mający się za daleko rozumniejszego i przebieglejszego, niż Andrzej, niecierpliwie się zżymnął.

— Dajże mi wyłuszczyć rzecz, jak ona dziś stoi — zawołał. — Nie dosyć, że nam dojadł ten groźny stan, dokuczył on już wszystkim niemal, ale milczą, bo się boją, a nie poczną nic, bo im też strach. My się musimy za wszystkich stawić i świecić.

Samuel potwierdził, ale tylko milczącem uderzeniem pięścią o stół, aż szyby okien w ołów oprawne zadrżały.

— Chcieliśmy to rychlej i bezpieczniej skończyć, — mówił dalej Krzysztof — dając królowi lekarstwo.... bo nieboraczysko chory, ale zawczasu się to przez Samuelową nieostrożność wydało; teraz w podróży, krom gotowanych jajek, nic w gębę nie bierze.

— Co ty na mnie winę składasz! — krzyknął Samuel. — A z czyjegoż to listu wyszło? nie z twojego?

— A pocóżeś ty listy chował tak, że ten łotr, twój faworyt, i wiedział o nich, i czytał, i skraść mógł?

Samuel zaklął tylko djabłami i umilkł.

— Teraz tam kuchni, wody, ja myślę, że powietrza pilnują około króla, — dodał Krzychnik — że darmo nawet myśleć o czemś. Gdy król w Grodnie, to tam Buccella i kuchmistrz stoją przy garnkach, a w Niepołomicach Branicka starościanka.

— Tak — wtrącił Andrzej — i z tego powodu zmyślili na króla, że starościankę pokochał, choć on wcale do takiego kochania się nie nadał. Tam chyba Cobar, albo który z jego Węgrów za niego kocha... ale zawsze dobrze, że plotą o tych miłostkach, bo to i królowej uszu dochodzi, i ludzie z niego szydzą.

— Ale to baśń, — rzekł Krzychnik — ja najlepiej wiem. Bałamuctwo... Król Branickiemu za pilność około łowów tenutę odpuścił, a ludzie to składają na starościankę, śmiech myśleć o tem. — A no z Wrocławia raportowali cesarzowi o romansie, bo stamtąd po-

syłają, co tylko mogą na króla wymyśleć, ale nic nie robią. Słowami ręce chcą zastąpić.

Słuchali wszyscy, a Krzychnik mówił dalej:

— Więc około króla niema nam co ani projektować, ani robić. Otoczony jest swoimi Węgrami, a gdy w podróży, to prowadzi za sobą taką kupę straży i ludzi...

Nie dokończył pan podczaszy.

— Inna rzecz z kanclerzem — rzekł po chwili. — Ten się czuje w domu i bezpieczen. O nas, choć wie, nie dba! Jeździ do Knyszyna, z Knyszyna do Zamechu i tam gdzie myśli miasta i grody fundować, w małym orszaku, czasem w kilku ludzi. Nic łatwiejszego, jak na noclegu w pierwospy najść i zarąbać.

Zwrócił się do Samuela.

— Toż to rzecz dawno umówiona, — odparł Samuel — ale trzeba ją na pewno poczynać, aby burdy nie zrobić daremnej, bo nas połapią i pościnają, a on wyjdzie cały. Więc musimy wprzódy wiedzieć, nim się w podróż puści, ile ludzi i jakich z sobą prowadzi, gdzie nocować ma, w jakim dworze, jaki tam dostęp, ilu miejscowej czeladzi? Przy nim zwykle idzie rotmistrz Mroczek; znam go z wojny, śmiała i zajadła bestja, nie głupi, ale ja się go nie boję. O innych też, co przy Zamojskim są, wiem! Lud dobrany, a no nie taki, ażebym ja go się uląkł. — W tych czasach kanclerz właśnie pociągnie do Krakowa...

— Wodę warzysz — rzekł, dąsając się, Andrzej. — O czem gadać? Postanowiono na kanclerza głowę?

— Postanowiono,—zawołał Samuel ze śmiechem— to jest jam postanowił i idę, a Krzychnik i ty będziecie patrzeć zdaleka, jak banita za was żywot i gardło stawi!

— Boś ty do tego najsprawniejszy — odezwał się Andrzej.

Samuel się pokłonił.

— Ta mi cześć za wszystko płaci — zawołał. — Wy oba do kancelarji jesteście, a ja do topora, — wy majstry, a ja czeladnik! Tylko to trzeba też wiedzieć,

że gdyby sami majstrowie byli tak, jak wy, nigdyby do żadnej roboty nie przyszło.

Marszałek z podczaszym spojrzeli na się i nie chcąc drażnić coraz goręcej występującego Samuela, zamilkli.

— Panowie majstrowie, słucham dalej rozkazów — dodał Samuel.

Krzysztof w stół patrzył chwilę i palcami po nim grał, bo się w nim krew ruszyła. Andrzej w strop oczy wlepił.

— Więc pewno wiecie, że kanclerz jedzie do Krakowa temi czasy i jakim szlakiem? — spytał podczaszy.

— Tak jest — odparł Samuel. — Ja zaś tak się gotuję, abym krok w krok za nim szedł, z boku o milę, o pół mili, a dobiorę sobie takie miejsce do najścia go, gdzie mi najwygodniej będzie. Może nawet się uda człowieka dostać, co pocichu wrota otworzy, aby dwór obstawić, nim się zbudzi, albo go i w łożu wziąć...

— Byleby się udało — szepnął Andrzej. — Wy sobie go wyobrażacie nieopatrznym i bezpiecznym, a ja myślę inaczej. Wie on, co się wkoło niego dzieje i ma się na ostrożności. Jeżeli nie on, to Mroczek patrzy daleko, a ma oczy ostrowidza.

Śmiał się Samuel.

— Da li Bóg, nie będą one lepsze od moich, — rzekł — bo oni o mnie tak, jak nic nie wiedzą, chyba to, że się po kraju włóczę. Ale to trwa tyle czasu, iż się ze mną obyli i nie zważają na mnie. Powiadają sobie: jedzie Samuś pić i z dobrymi towarzyszami hulać... niech tam sobie! — Pójdę więc wślad za nimi i mam nadzieję go przydybać, nim się do Krakowa dostanie.

— Ludzi dużo masz? — zapytał Krzychnik.

— Nie pytaj wielu, ale jakich — rzekł Samuel. — Łeb w łeb taki lud, że nie zawahają się przeciw dziesięciu stanąć jednemu. Miałem ich na Niżu. Turków była ćma, nas garść, ale trzeba było patrzeć, jak się bili! Zamojski nie prowadzi z sobą i trzydziestu, licząc z woźnicami, czeladzią i pachołkami, a ja mieć będę samych dobornych moich więcej trzydziestu, krom tych, co w odwodzie, to także nie odłamki, a i ja za

kilku stanę! — Byleśmy go w cieplem gnieździe przydybali, — nie wyjdzie z niego cały! Cała sprawa w tem, gdzie i jak? Będę go prowadził, mając na oku póty, dopóki nie nadarzy się takie miejsce.

— A jak się nie nadarzy?—zapytał Andrzej kwaśno.

— To nie może być? — zawołał Samuel. — Ja te wszystkie dwory znam; w najgorszym razie, gdy się już pod Kraków będzie podsuwał (ale ja mu tak daleko iść nie dam), wezmę go gdziekolwiek bądź.

— A dalej co? — spytał Andrzej. — Bo nam tu wszystko obrachować trzeba. Nie idzie o ciebie jednego, Samku, ale o nas wszystkich. Wiedzą ludzie, że my razem się trzymamy. Więc gdy się uda, to co?

Samuel się trochę zamyślił.

— Narazie — rzekł — trzeba będzie ujść nieco, ale byle Zamojskiego nie stało, cała szlachta się na naszą i cesarską stronę obróci.

— A jakby się nie udało? — zapytał Andrzej.

Samuel porwał się zniecierpliwiony do najwyższego stopnia.

— Jakże może się nie udać? — zawołał. — Siły obrachowane, ja idę na pewno. Udać się musi!

Krzychnik dumał.

— Byle kanclerza nie stało — my z Czarnkowskim, z Chodkiewiczami na Litwie sprawę cesarską wyprowadzimy na stół i znajdą się oddziały, które elekta będą popierały, a gdy te się zjawią, — wszystek kraj odstąpi Batorego.

— A no, wojna domowa—rzekł Andrzej—zła rzecz!

— Wojny nie będzie—odpar Krzychnik.—Kto mu zostanie? Jego chłopska piechota i zaciągi cudzoziemskie? Tym się lenung da lepszy — i odstąpią go.

Trochę milczeli, ale zbytniego zaufania w plany owe nie okazywał z nich żaden. Samuel jeden najśmielszym był.

— Na czas choćby się przyszło mi gdzie schować,— rzekł — długo to nie potrwa. Wszystko jest na Zamojskim. Nie stanie jego, — runie cała ta szopa na ich głowy. On jeden ją trzyma!

Znowu nastąpiło milczenie, panowie bracia spoglądali po sobie, jakby myśli swe odgadywać chcieli, ale tylko jeden Samuel miał je wypisane na czole, bo ten się z niczem nie tail. Andrzej, choć szedł z braćmi, niezupełnie ufał, że mu się uda; Krzychnik chciał narzucić Samuelowi najmniejsze nawet środki wykonania, bo w jego siłę i impet, ale nie w głowę wierzył. Teraz zaś po odkradzeniu listów, mniej, niż kiedy, mu ufał, znajdując, że niebacznym jest i na ludziach się nie zna.

— Cóż się stało z tym łotrem Wojtaszkiem? — zapytał Andrzej — król go wziął?

— A myśmy go przez Stadnickiego królowi już z rąk byli wydarli, — rzekł Samuel — ale kanclerza ludzie, bodaj głową nałożył! natychmiast przyskoczyli i wychwycili. Na dworze jest. Ci, co go widzieli, powiadają, że do siebie niepodobny, jak wędzonka wygląda.

— Nie tracę nadziei, — dodał — że ja go jeszcze dostanę, a dostawszy, to dopiero się ucieszę!

Usta zagryzł Samko i zamilkł nagle. Ręce, które trzymał na stole, zacisnęły mu się tak, iż krew z nich uszła.

Chwilę trwał ten gniew wewnętrzny, milczący i podczaszy począł znowu:

— Tedy wszystko tak, jak skończone, ale (obrócił się do Samuela) na wszystko w świecie, na cześć twoją i naszą zaklinam, niechże raz będzie koniec! Nam już dziś nikt wiary nie daje. Odgrażamy się, odgrażamy, boczym, trwa to lata całe, ludzie się śmieją z nas i powiadają: — Nie mogą nic! Pojechał Samuel na Niż, — nic nie wskórał; posyłał z listami do Kozaków, Krzysztof nic zyskał też nic, oprócz pięknego pokłonu. Obrócili się do cesarza, — ten im już jurgielty poodejmował, bo widzi, że są do niczego! Car moskiewski też się odwraca od nich. Co oni warci? Gęby szerokie, a ręce bezsilne!

Gdy to mówił, po Samuelu przebiegały rumieńce i bladość naprzemiany. Zerwał się z siedzenia.

— To znaczy, — zawołał gwałtownie — iż na mnie

spada wszystka wina, bo ja waszą jestem dłonią i ręką! Ale, gdybyście wy mnie nie wstrzymywali, jabym dawno porachunek skończył i z wilkiem i z Zamojskim! Wy wszystko ważycie i mierzycie na łuty i na skrupuły, a ja nie rachuję nieprzyjaciela, tylko moje męstwo. Tego mi dotąd nie brakło! Mówicie teraz, że trzeba skończyć. Dobrze! Czy dogodnie będzie z tem, czy nie, ja koniec zrobię. Padnie hetman, albo ja!

Tu głową potrząsnął.

— Ale chyba nie ja, — dodał — bom się ubezpieczył; wpadnie mi w matnię, nie opatrzywszy się.

— Kiedyż się to ma stać? — zapytał Andrzej — bo nam wiedzieć trzeba, gdzie być i jak się na wszelki wypadek gotować.

— Chcecie, żebym wam dzień, a może godzinę i minutę wyznaczył! — wykrzyknął Samuel — samiż zważcie. To ode mnie nie zależy!

— Mniej więcej — szepnął Krzysztof.

— Bardzo rychło, najdalej w maju — odezwał się po namyśle krótkim Samuel. — Tak mi się zda. Wyjazd do Krakowa postanowiony, a ja już na niego po drodze czekać będę.

— Jedną on ma drogę? — badał Andrzej.

— Jedną — potwierdził Samuel. — Gdyby ją odmienił, zawczasu mi dadzą znać, bo mam tam przy nim kogoś...

Andrzej, posłyszawszy to, zadumał się.

— A on niema kogo swojego przy was? — zapytał.

— Nie może być! moich ludzi znam wszystkich nawylot, nowego żadnego nie przyjmuję — nie boję się — zawołał Samuel.

— No i Wojtaszkaś się nie bał? — rzekł Krzychnik.

— Nieprawda, nieprawda! — niecierpliwie począł, miotając się, Samuel. — Obawiałem się go zawsze i śmierć jego była u mnie postanowiona, ale ten człowiek to czarnoksiężnik był i djabelskie kunszty znał. Mnie przy nim serce miękło, ludzi najnieprzyjaźniejszych sobie opanowywał, kobiety szalały za nim! Na taką siłę — mojej za mało. Szatan był wcielony.

Siedzieli czas jakiś milczący, aż Krzychnik począł badać, już nie po raz pierwszy, o listy swoje, o ile je sobie przypominał, — które mianowicie zabrane zostały i znajdowały się w ręku króla. Na to Samuel odpowiadał krótko i niechętnie, potem rozmowa się wszczęła o Janie, w jaki sposób bronił Krzychnika.

— Mówią, że zrazu poznał listy, iż były moje, — odezwał się Krzysztof — dopiero potem się rozmyślił, że je mógł podrobić fałszerz, bo są tacy ludzie, co i pisma i pieczęcie umieją naśladować. Ja się ich zaprę.

— A kto o nie teraz pytać będzie? — odezwał się Samuel. — To rzecz już pogrzebiona. Jabym też złożył na Wojtaszka, że przez niego ci, co nas zgubić chcieli, listy fałszywe podrzucili. Ale co już dziś o tem rozprawiać? Gdyby król uwierzył w te papiery, a chciał z nich zrobić użytek, dotądby już pewnie wypłynęły. Jan obmył je łzami i tak się na niczem skończyło.

Andrzej, który podobno najostrożniejszym z nich był, rozpoczął o innych sprawach i z przełaju zagadnął Samuela o syna, o córkę, o Włodkową, a naostatek o to, jak on po kraju z taką gromadą ludzi, ba — i wozów się przejeżdżając, te swoje wędrówki tłumaczy.

— Bo — dodał — jeśli ty ich nie wytłumaczysz ludziom, oni je sami Bóg wie na co składać będą i paplać nie do rzeczy.

— Jam o tem myślał — odparł Samuel. — Cały świat wie, że ja do Włoch z Krzychnikiem razem się wynoszę, bo tu nie mam co robić. Powiadam, że na Maltę nawet dopłyniemy, aby tam, jako rycerze, z pogany walczyć. O tem więc wszyscy ludzie wiedzą i nikogo nie dziwi mój tabor, bo juści Zborowski, gdy kraj opuszcza, z sakwą jedną za kulbaką wyciągnąć nie może. Bez dworu i sprzętu nie mogę być, a więc i bez broni. Na całej Rusi już się ze mną pożegnali, bom głośno zapowiedział, że nie zmieni li się u nas na lepsze, to mnie już nie zobaczą!

Tak aż do południa upłynął czas nad ciągłem powtarzaniem wszystkiego, co napaść na kanclerza czyniła potrzebnem. Radził Krzychnik, wtrącał się pan

Andrzej, rozpytywali o ludzi, o broń; widać było niepokój ich, a razem pragnienie, aby się to skończyło.

Podczaszy szczególniej nalegał na to, mówiąc, iż cesarz wymówki czynił, nikomu już nie ufał, pieniężne wypłaty wstrzymywał i ze stu tysięcy, przeznaczonych na ten cel, połowę ledwie wydawszy, więcej już dawać nie chciał, z tego powodu, że wielu jego dawniejszych stronników jawnie przeszło do króla Stefana.

Mówiono potem wiele o królu, a Andrzej, który najbliżej dworu stał i najlepiej wiedział, co się tam działo, nastawał na to, że nieubłaganym był i srogim, a coraz się surowszym jeszcze obiecywał.

Powtarzano jego wyrazy, że kaganiec szlachcie nałoży, że ją szanować królów swych nauczy, że i prawa niedorzeczne zmienić będą musieli, bo są takie, z któremi wojny prowadzić skutecznie niepodobna i t. d.

Samuel do Złoczowa przybył z małym pocztem, część jego po drodze, a Boksickiego na żądanie, dla ważnych jakichś pokupek, zostawiwszy we Lwowie.

Miał w nim zupełne zaufanie Samuel i człowiek się na nie zasługiwać zdawał; ale w czasie służby jego u Zborowskich zaszło coś, co położenie i usposobienie zmienić mogło. We Lwowie Boksicki zetknął się przed kilku miesiącami z przyrodnim bratem, którego nie widział od bardzo dawna. Ten się zwał Parżnicki.

Powitanie po latach długich było łzami obmyte.

— Gdzież ty się obracasz? — zapytał Boksicki, myśląc już brata zaciągnąć do służby Samuela.

— Przy kanclerzu jestem — rzekł Parżnicki. — Koniuszym mnie uczynili i dobrze mi z tem jest. W podróżach mu towarzyszę.

Posłyszawszy to, Boksicki zrazu się nawet z tem wydać nie śmiał, gdzie służy, ale brata zaczął odmawiać, ażeby skąpego i surowego Zamojskiego — bo taka o nim chodziła fama — rzucił, a innego miejsca szukał. Obiecywał mu je wyrobić.

Parżnicki na to zgóry odrzekł:

— Uchowaj Boże! Ani się ruszę! Kamień na miejscu obrasta. Albo mi to źle? Naprzód, że jurgielt ni-

gdy nie zalega, a i podarki się trafiają. Prawda, że ani na obrokach, ani na stajennych przyborach człek nie zarobi, bo rygor wielki, ale zapłata dobra i gdy człeka doświadczą, — to go popychają.

— A przytem — dodał — co kanclerz, to nie żaden inny pan, albo półpanek. Ten całą gębą królewski synowiec i ma przed sobą przyszłość znaczną. Kto wie? Na tron go może wezmą?

Poczęli tedy we dwóch po swojemu politykować, a Parżnicki się okazał daleko zręczniejszym, bo brata skonwiktował, że służba u kanclerza nie miała równej, a kto się do niej dostał, winien się pilnować, aby nie stracić miejsca.

Nie mogło też inaczej wypaść, tylko, że bracia się nawzajem ugaszczając, pod wieczór oba byli podchmieleni, serca im się otwierały i tajemnic dla siebie nie mieli. Boksicki nawet, obawiając się o życie brata, wygadał mu się wkońcu z tem, że na kanclerza czyhano i t. p.

— Ja tam, oczywiście, niebardzo wiem, co się na pokojach dzieje, — odparł Parżnicki — ale ci za to mogę ręczyć, że kanclerz jest o wszystkiem uwiadomiony, bo swoich ludzi wszędzie ma i jeżeli na niego chcą napaść, to rychlej on was napadnie. Jam tego tak pewien, jak Pana Boga na niebie.

Boksicki, słuchając brata, znacznie ostygł i począł dumać o własnej skórze. Inaczej mu się teraz wydawała sprawa, bo pomimo osobistego męstwa Samuela, wiedział, że on słabszym był i że z innymi sługami jego mógł też głowę położyć, stojąc przy nim.

Za drugim razem, gdy się zeszli, Parżnicki zaczął namawiać, aby Boksicki raczej trzymał z nim i kanclerzowi pomagał. Oburzył się na to Boksicki, ale gdy raz i drugi rozgadali się, zmiękł i jakoś spowolniał.

— Od ciebie nic innego nie będą żądali, tylko, abyś nas zawiadomił, z jaką siłą, gdzie i kiedy będzie Samuel się znajdował, a odwodził go od napaści, w której głową może nałożyć.

Jak do tego przyszli, że się potem porozumieli i naj-

zaufańszy sługa Samuelowy stał się narzędziem w ręku brata, a posługaczem kanclerza, — to tylko słabość natury ludzkiej może tłumaczyć.

Boksicki mówił sobie, że Samuela w ten sposób od zagłady zachowa.

Zmówili się więc między sobą bracia i gdy Zborowski rachował na to, że kanclerza weźmie nieopatrznego, Zamojski o każdym jego kroku zawiadomionym miał być i bezpiecznie podróż odbywać.

Lecz nie chcąc zdradą i podstępem nic czynić, Zamojski głośno się odzywał z tem, tak, aby to doszło Zborowskiego, że banicję na sobie mając, nie powinien się w jurysdykcji jego, jako starosty krakowskiego, ukazywać, bo go chwyci, jako banitę.

Samuel żartował sobie z tej już nie nowej, bo wznowionej pogłoski, choć uszu jego dochodziła.

— Niechaj Panu Bogu dziękuje, gdy sam cały ujdzie z moich rąk, a o moją banicję się nie frasuje. Ja o niej dobrze wiem, że zwietrzała od śmierci Henryka i że przez to samo nic nie warta, że pod Połockiem mnie widząc — z niej nie korzystano. Nie stało mi się nic dotąd, więc nic stać nie może.

Było to jego najmocniejsze przekonanie.

Gdy Zborowski spędził w Złoczowie dni parę na próżnej gadaninie i snuciu planów przyszłości, Boksicki tymczasem z bratem się o to umawiał, aby o ile możności zapobiegać napaści i odwodzić od niej, ażby kanclerz zbliżył się pod Kraków, gdzie już ona stanie się niepodobieństwem.

Ponieważ podróż Zamojskiego była już na te dni oznaczoną, a nieznacznie się zbliżyć potrzeba było do niego tak, aby krok w krok za nim postępować, nie zwracając na siebie podejrzeń, pan Samuel wprost ze Złoczowa zamierzył puścić się z całym swym orszakiem w podróż i posłał do Lwowa po tę resztę wozów i ludzi, która się przypóźniła, aby dnia 21 kwietnia mógł stąd wyruszyć z całą siłą i taborem.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ